

Kraszewski kajetan

ZE WSPOMIENIE KASZTALENICA

PRZYCZYNEK

*DO HISTORII OBYCZAJÓW, ŻYCIA DOMOWEGO
I WYCHOWANIA W KOŃCU XVIII. W*

ZE STAREGO RĘKOPISU

W powiecie Nieszawskim, na dawnych Kujawach znajduje się miejscowość zwana Płowce, osada prastara, sięgająca, jak świadczą wykopaliska, czasów jeszcze przedhistorycznych, znana zaś i wslawiona w dziejach naszych bohaterską bitwą i pogromem Krzyżaków przez króla Łokietka dnia czerwca roku. Pomimo pięciu i pół przeszło upłynionych wieków pamięć owych sławnych zapasów do dziś dnia przechowała się w podaniach miejscowego ludu. Na cmentarzu, gdzie był niegdyś kościół filialny i gdzie spoczywają prochy poległych z obu stron wojowników z roku , wznosi się pamiątkowa figura z odpowiednim napisem i zawieszonym na niej z dawnego kościoła dzwonem, noszącym na sobie datę odlewu, rok .

Płowce od dawnych już lat i wielu pokoleń należą do starej i zasłużonej rodziny Biesiekierskich; sam dwór jest siedzibą bardzo dawną, szczęśliwie

i starannie zachowaną aż do naszych czasów. Jeden z przodków
dzisiejszego
posiadacza, jeszcze w przeszłym wieku założył w Płowcach cenną
dziś i bogatą
bibliotekę oraz zbiór dawnych zabytków i wszelkich pamiątek,
odnoszących się do
całej rodziny, przyczem zapisał i pewien fundusz wieczysty na
utrzymanie owych
zabytków i pomnażanie samej biblioteki.

Był tym fundatorem Antoni Dezydery Biesiekierski, Kasztelan
Kowalski (z r.
) , dziedzic Płowieć, Piołunowa, Plichowa, Grabi, Konecka, Pomarzan,
Łątkowa
i wielu innych, które pomijamy, człowiek posiadający nie tylko
gruntowną naukę i
wykształcenie, ale co więcej, odznaczający się rzadką prawością,
cnotami obywatelskiemu a
nadewszystko charakterem niezłomnym. Dowiódł tych zalet, jako
poseł z województwa Inowrocławskiego na sejm delegacyjny w roku ,
oraz w
latach i , będąc wybrany do ułożenia i zawarcia z Prusami
rozbiorowego
traktatu rozgraniczenia i uregulowania stosunków prawno-
państwowych
ekonomicznych i handlowych, gdzie łakomych a niesłusznym
warunków, narzucanych
przez Prusaków przyjąć i podpisać nie chciał, mimo gróźb króla
Frydryka II, że
mu skonfiskuje dobra jego w odpadłych prowincjach leżące, mimo
najsilniejszego
też nacisku ze strony samozwańczego Marszałka sejmu, Adama
Ponińskiego, który mu
również groził, że go od wszelkich urzędów i zaszczytów odsądzi.
Wytrwał jednak
kasztelan niezłomnie do końca, pozwolił Prusakom zabrać dobra
swoje: Witowice,

Czołowo, Broniówek i Rokitki i protokołu nie podpisał. Nie mówiąc już

--

o Rejtanie, Kimbarze, Korsaku i innych, na chlubę współczesnego społeczeństwa naszego, częstokroć przez dzisiejszych potomków, z dzisiejszego stanowiska sądzących, oskarżanego, pospieszamy dodać, że ten czyn szlachetny kasztelana Biesiekierskiego nie był też całkiem wyjątkowym i odosobnionym. Tenże sam kasztelan Biesiekierski w mowie swej zwróconej do zebranych stanów i króla na sejmie delegacyjnym w r. dnia października przypomina zasługi Jana Aleksandra Kraszewskiego, regimentarza Partii Wielkopolskiej jako współobywatela swego z województwa Inowrocławskiego, który, nie zważając wcale na zupełnie podobne pogroźki konfiskaty dóbr, zapowiedziane przez króla pruskiego przy rozgraniczaniu i wdzieraniu się Prusaków w granice kraju, poraził ich i rozgromił w kilku potyczkach pod Elblągiem i Kąpielą, gdzie i sam był ciężko ranny, za co mu król pruski skonfiskował leżące w zabranych prowincjach nietylko dwa starostwa, Pokrzywnickie i Kłodawskie, ale i dziedziczne jego majątki: Jordanów, Bochlewo i Tokary. Podobnych przykładów możnaby więcej wyliczyć. Kasztelan Biesiekierski żonaty był dwukrotnie: I voto z Anielą hrabianką Zboińską, wojewodzianką Płocką, córką Ignacego, z której pozostało żyjących trzech synów i córka; voto z Anielą Anną z Comesów

na Lubrańcu Dąmbską, córką Jana, kasztelana Inowrocławskiego,
generała
inspektora armii, z której pozostało przy życiu synów pięciu; ogółem
kasztelan
miał dzieci dwadzieścia dwoje, lecz z tych trzynastoro w młodości
zeszło ze
świata.

Niezmiernie pracowity i pilny w pełnieniu obowiązków służby
publicznej, przez
długie lata przesiadywał kasztelan najwięcej w stolicy, raz lub parę
razy tylko
do roku zjeżdżając na czas jakiś na wieś dla lustracyi szeroko
rozrzuconych
majątków ; dopiero w starszych latach osiedlił się już stale w pięknie
urządzonej rezydencji swej głównej w Płowcach.
W bogatej bibliotece i zbiorach tam nagromadzonych znajdują się
notaty ś. p.
Antoniego Biesiekierskiego, wnuka już kasztelana, a syna
Wincentego,
kasztelanica, urodzonego z Dąmbskiej, w których Antoni spisał
niemal dosłownie
opowiadania ojca swego, czyli wspomnienia jego z lat dziecinnych i
młodzieńczych. Jest to ze wszech miar ciekawy obraz obyczajów z
końca zeszłego
wieku, życia domowego, zwłaszcza zaś wychowania. Pod tym
ostatnim względem
zasługują na szczególną uwagę. Jakkolwiek bowiem tryb wychowania
dzieci
Kasztelaństwa i na owe czasy należał zapewne do nielicznych
wyjątków, tak się
nam wszelako dzisiaj dziwnym wydaje, że gdyby nie całkowita
pewność relacyi,
trudnoby i uwierzyć w coś podobnego.

Pospieszamy jednak dodać, że wyszli z owej niezwyklej metody wychowawczej ludzie nie tylko prawdziwie godni szacunku, zacni i ukształceni, ale i rzeczywiście zasłużeni w społeczeństwie i niepospolici ; wszyscy znani byli z gorliwości w służbie obywatelskiej, nadto Stanisław i Ludwik odznaczyli się w wojsku. Ferdynand zaś uczony i erudyta, historyk i etnograf, agronom i ekonomista, którego wiele prac dru-

kowały pisma współczesne, pozostawił jeszcze po sobie kilkaset arkuszy rękopisów, odnoszących się do nauk mających związek z prawem, ekonomią i administracją, gdzie szczególnie z benedyktyńską pracą zebrany dział bibliograficzny ma wartość niepospolitą). Co zaś rzeczą jest najdziwniejszą, że gdy tryb wychowania nie zdawał się sprzyjać silnemu zawiązaniu się miłości rodzinnej, niemniej jednak rozwinęła się ona w całej pełni i takiej sile, iż znanym i powszechnym świeciła przykładem. Dla tego też owe wspomnienia Kasztelanica wraz ze wstępami kilku słowami ś. p. Antoniego Biesiekierskiego podajemy czytelnikom. Uporządkowaliśmy je tylko i oczyścili z niejakich usterek językowych i innych w obrobieniu literackim, bez najmniejszego wszelako naruszania charakteru i toku opowiadania. Nim jednak przystąpimy do relacji Kasztelanica opowiedanej przez jego syna, nie od rzeczy będzie przytoczyć też jeszcze, dla dopełnienia, pewne szczegóły

ciekawsze, odnoszące się tak do rodziny samej, jako i do życia Kasztelana, znajdujące się w rękopisach wyżej wspomnianego przez nas uczonego Ferdynanda Biesiekierskiego. Znajdujemy tu naprzód zajmującą wiadomość nieznaną, że dziad Kasztelana, Andrzej Biesiekierski, skarbnik Bydgoski, rotmistrz chorągwi pancерnej uczestnicząc w wyprawie króla Jana III pod Wiedeń, jeden z pierwszych wpadłszy do obozu Kara Mustafy sam

) Patrz Większa Encyklopedia Orgelbranda T. III. fol. .

-O-

osobiście porwał ów sławny sztandar proroka i on to go wręczył królowi.

Cały rynsztunek rycerski, który w Wiedeńskiej wyprawie służył Rotmistrzowi,

jak: hełm, kirys, naramienniki, rękawice, etc. stalowe, złotem nabijane, jak

pisze Ferdynand » zdołały ścianę w jednej z komnat dworu w Zagajewicach (na

Kujawach) u Antoniego B. Łowczego Inowrocławskiego, syna Rotmistrza, ze czcią

przechowywane w rodzinie, lecz wraz ze dworem zniszczył je ogień w roku «.

Po tymże Rotmistrzowi Andrzejowi w zbiorach Płowieckich złożony był pamiątkowy

bogaty różaniec z liczby tych, które papież Innocenty jedynasty przesłał był

starszyźnie rycerskiej, uczestniczącej w odsieczy Wiedeńskiej, oraz rzadki i

cenny medal, wybity na pamiątkę rozbicia muzułmańskiego obozu).

O owym medalu przechowywanym, jako najcenniejsza pamiątka w ozdobnym, odpowiednim pudercu, opowiadano nam, że jeden z rodziny, podobno sam właśnie P. Ferdynand B. przywiózł go był z Płowiec do Warszawy dla okazania go kilku zaciekawionym archeologom. Oglądano go też z wielkim zajęciem, a po odejściu gości, kiedy gospodarz miał go już schować i zajrzał do pudełka, okazało się ono

) Medal ten robiony był przez Gdańszczanina Jana Höhne (młodszego), wyobraża Wiedeń obleżony, nad nim półksiężyc rozdierany przez dwóch orłów koronowanych, z napisem w górze : Nec luna duabus — niżej zaś : Vienna liberta. A. MDCLXXXIII. D. XII Sept. Z drugiej strony popiersie króla Jana III z laurowym wieńcem na głowie i z napisem w otoku : Joannes III. D. G. Rex Poloniarum.

--

próżnem! Oczywiście ktoś z archeologów nie mniejszy miał pociąg do starożytności, jak sławny uczyony Tadeusz Czacki do starych ksiąg i rękopisów.

W roku dnia września w dobrach swoich Ludzick na Kujawach pisze Ferdynand Biesiekierski o Kasztelanie »miał on ukontentowanie wyprawić swym rodzicom złote wesele po ich przeżyciu w przykładowym małżeństwie lat pięćdziesięciu«. IMP. Jan Biesiekierski, Podkomorzy Inowrocławski urodzony w r. liczył na ten czas lat i był jeszcze dość

rzeźwy, tylko pani Podkomorzyna, Wolska z domu, schorowana i podupadła już była na nogi i wożono ją w krzeselku. Na tę rzadką uroczystość zebrała się cała rodzina, wnuki mnóstwo sąsiadów i przyjaciół, oraz domownicy i rezydenci — z tych dwaj, Stanisław Miaskowski i Antoni Dąbrowski w czasie składanych powinszowań podali Podkomorzemu uroczyście na srebrnej tacy list od króla treści następującej :

» Mości Panie Podkomorzy Inowrocławski.

»Z rozrzewnieniem czytałem list W Pana pod datą

» Augusti do mnie pisany). Dobrze dla mnie życzę

»-nia W Pana i godnej Jego małżonki odbieram jako

»błogosławieństwo Boskie przez cnotliwe ręce przy-

»kładnych małżonków, którzy z łaski Nieba tak rzadkiej

»długowieczności doczekali. Dziękuję W Państwu za te

»przychylnego Ich serca dla mnie oświadczenia, życzę

) Tym listem złożył urząd Podkomorzego na ręce Króla, jako przyciśniony

wiekem, a na dowód przytoczył, że właśnie lat pożycia z małżonką obchodzić

będzie.

--

»Wam z duszy, abyście jeszcze długiego swego wieku

»przeciągiem, przyjaciół i krewnych byli przykładem

»i pociechą, a mianowicie temu godnemu synowi Wa-

»szemu J Panu Kasztelanowi, którego cnót i obywa-

»telstwa, jako prawdziwie użytecznych Ojczyźnie uprzej-

»mie winszuję W Państwu.

»Co wyraziwszy wszelkich Wam z serca od Boga

»życzę pomyślności«.

(podpisano ręką Króla)
Stanisław August.
W Warszawie, d. bris roku.

Kasztelan w roku usunął się w zacisze domowe i zamieszkał w Płowcach; zdawało się, że już zawód publicznego życia skończył, wszelako po ustanowieniu Księstwa Warszawskiego lubo w podeszłym był wieku, nie odmówił swego udziału w pracach dla dobra ogółu pożytecznych, gdy go powołano na urząd Prezesa Komisji Centralno-likwidacyjnej. »I tu — pisze Ferdynand Biesiekierski — dał przykład jak urzędnik prawy i zajęty tylko dobrem publicznym, o swoim własnym zapomina«. Sam bowiem posiadał bonów francuskich na przeszło , złotych z procentami za wycięte drzewo w lasach dóbr jego Grabie, użyte do fortyfikacji i mostów Torunia. Pretensji swoich jednak nie przedstawił dlatego właśnie, że sam był prezesem owej Komisji likwidacyjnej; gdy zaś z urzędu tego ustąpił, wszelkie fundusze na ten cel przeznaczone były już wyczerpane. Umarł Kasztelan Antoni Dezydery Biesiekierski

w roku dnia listopada w Płowcach, mając lat , otoczony czcią powszechną, ciesząc się najserdeczniejszym przywiązaniem swych synów, którzy lubo przyrodni, a tak dziwnie surowo wychowani, w miłości dla ojca i między sobą za najpiękniejszy wzór i przykład stawiani być mogli. Testament też jego pełen

najwznieściejszych myśli, rad i wskazówek dla synów, znany był w szerokich kołach obywatelstwa, i w najdrobniejszych szczegółach świątobliwie a zgodnie przez spadkobierców uszanowany.

Kajetan Kraszewski.

Mało zapewne jest żyjących jeszcze z owej dawnej epoki ludzi, na których powołując się uznaniem, mógłbym dzisiejszemu pokoleniu () mówić o tak daleko ubiegłych od nas czasach. Porównywając obecne obyczaje z dawnymi, tryb życia społecznego i wychowanie, sam byłbym pierwszym niedowiarkiem tego, co zamierzam opowiedzieć, gdybym nie słyszał od ojca mego, któremu wiary odmówić niepodobna, jako człowiekowi, rządzącemu się prawdą przez całe życie. Pokolenie młode, które dziś wychowuje i uczy, może i nie uzna, żeby się tak kiedyś dziać mogło, a ich rodzice oburzą się na myśl, iżby ich pieczytka tak chowane i w takiej ryzi trzymane były. Rygor i posłuszeństwo dla starszych były może posunięte do przesady, ale dziś dzieci mają częstokroć przewagę nad rodzicami. Czy to na lepsze nam wypadnie, osądzić trudno, jednakże i w owej epoce wychowywali się

ludzie zacni, których po dziś dzień ze czcią wspominamy, wreszcie był to może wpływ obyczajów, które się do nas z za granicy bezładnie wciskały. Nauka i

wynalazki postąpiły od owej epoki olbrzymim krokiem, ale czy
obyczaje i
moralność w tym stosunku się poprawiły, nie do mnie sad w tej
mierze wydawać
należy. Zamierzyłem sobie bowiem zebrać, nie dzieje, ani kronikę,
lecz
opowiadania ojca mojego, którym z zajęciem się przysłuchiwałem;
bez pretensyi
zyskania sławy pisarza, malującego obraz ówczesnej epoki. Chciałem
tylko
pozostawić następnemu pokoleniu jakąś po sobie spuściznę,
wychodząc z tej
zasady, że gdyby mniej więcej każda rodzina spisywała dzieje swoje,
szkicując
zwyczaję, utworzyłaby się stad niewyczerpana i bogata skarbnica
historji narodu
naszego, a drogocenny materiał dla powieściopisarzy. Dopóki więc
mi jeszcze
pamięć dopisuje, starać się będę chociaż nieudolnemu piórem zebrać i
nakreślić
ojca mojego opowiadania.
Antoni Biesiekierski.

I.

Dom rodzicielski.

Dziad mój (autora Antoniego B.)) mieszkał w jednej z
najchlebodajniejszych
okolic kraju naszego, na Kujawach, w majątności Płowce,
odziedziczonej po swym
ojcu. Jako jedynak, na dzisiejsze czasy magnacka prawie posiadał
fortunę,
składającą się z wioski, która stanowiła oddawna gniazdo rodzinne,
osobnych
oddzielnych dóbr odległych o mil parę i kilku innych porzrzucanych
w okolicy po

mniejszych miastach. Liczył się więc do majątniejszych w kraju obywateli;

ukszałcenie posiadał wyższe, z tymi więc środkami, jako rzeczywiście uzdolniony, powołany został na wyższy urząd w kraju, bo ostatecznie po szczeblach doszedł do krzesła senatorskiego i piastował godność kasztelana.

Ożenił się z wojewodzianką płocką, Zboińską, z możnej pochodzącej rodziny, przez co powiększył

) Antoni Dezydery Biesiekierski, kasztelan kowalski, pierwsza żona Aniela Zboińska, druga Aniela Anna Dąbska.

swoją fortunę; owdowiawszy w lat kilka po tej pierwszej żonie, która mu pozostawiła trzech synów i córkę, wszedł w powtórne związki małżeńskie z kasztelanką inowrocławską, Dąbską, a ta mu wniosła w posagu dobra położone w Prusach. Był więc obywatelem różnorządowym, lecz prześladowany przez króla pruskiego, prawie połowę tych dóbr przez konfiskatę utracił. Ostatni z królów naszych, słodząc mu tę gorzką pigułkę, w nagrodę nadał tytuł hrabiego, którego dziad nie używał, dokument tylko ten zachował, jako pamiątkę dopełnionego gwałtu i takowy po dziś dzień znajduje się w archiwach rodzinnych. Druga żona dziada mego obdarzyła go bardzo licznym potomstwem ; ojciec mój

(Wincenty), który pochodził z tego powtórnego związku, liczył, że było
rodzeństwa dwadzieścia dwoje, z tego zaledwie trzecia część
wychowała się i
dosięgła dojrzałego wieku. Dziad mój, jako dygnitarz kraju,
przebywał większą
część życia swego albo w stolicy, gdzie go urząd jego powoływał, lub
też za
granicą, w dyplomatycznych misjach wysyłany. Zarząd więc tak
obszernych
majątkości, jakie posiadał, był w ręku plenipotentów i ekonomów.
Dwór jednakże w
gnieździe rodzinnem, Płowcach, utrzymywany był licznie i zawsze
gotów na powrót
państwa, który każdej chwili mógł nastąpić; liczna służba i rezydenci
oczekiwali
na niespodziane ich przybycie.

W tem położeniu wychowaniem tak licznego, jak to wyżej
wspomniałem, potomstwa
za młodu nie zajmował się ani dziad mój, ani też babka, mając inne

-1-

obowiązki do spełnienia. Rzeczą zaś było przyjętą w owym czasie, u
magnatów
zwłaszcza, że małymi dziećmi nie zajmowano się wiele, co
teraźniejsze matki z
oburzeniem przeczytają, dawniej jednak ten błąd przebaczano. Po
przyjściu więc
na świat dziecka, odsyłano pod dozorem ochmistrzyni do dóbr swoich
z poleceniem,
aby oddano dziecko na odchowanie do tej lub owej majątkości
zarządzającemu
gospodarstwem, który to obowiązek każdy miał sobie w kontrakcie
zastrzeżony.

Ojciec mój dostał się do ludzi bardzo zacnych i uczciwych, również
jak dwaj

starsi bracia jego, ktoś po dojściu do lat trzech i czterech poumierali ; o
czem obowiązkiem było rządcy, czy też ekonoma przy raporcie ostatnim z
gospodarstwa zamieścić wiadomość, mianowicie: jaki jest remanent w kasie, w
zbiorach, w stanie inwentarza i t. p. oraz dodać, że pomiędzy innemi dnia tego a
tego »umarł panicz». Ojciec mój (Wincenty) pozostawszy sam, tem troskliwiej był
przez tych zacnych ludzi pielęgnowany, którzy, że sami byli bezdzietni, jak do
własnego dziecka się przywiązali. Pani sama pieściła ojca mojego jak rodzona
matka, on zaś, gdy się już ojciec odchował tak, że mógł się przy nim czepiać,
był nieodstępny prawie jego towarzyszem. Był więc ciągle przez obojga
pieszczony i było mu tam jak w niebie; nie dziw więc, że przywiązał się do nich,
jak do własnych rodziców i za takowych ich też uważał.
Ale jak wszystko ma swój kres, tak i ta błoga zobopólna rozkosz musiała się
przerwać niewypowie-

--

dzianą goryczą. Postanowiono bowiem było, że jak skoro dziecko oddane na
wychowanie skończy lat siedm, obowiązkiem było wychowującego ekonoma pańskie
dziecko odwieźć do głównej majątności, gdzie była szkoła paniczów w oficynie i
tam pod nadzorem podówczas tak zwanego dyrektora poczynano się pierwsze
wykształcenie.

Gdy ta epoka na mego ojca nadeszła, wymyty, przystrojony i wyszykowany, jak tylko może być najlepiej, pojechał mój ojciec z wielką uciechą ze swym opiekunem w podróż, nie przewidując swoim dziecinnym instynktem rozpaczy, która go niebawem spotkać miała. Nic mu o celu podróży pierwej nie powiedziano, dopiero na miejscu dowiedział się prawdy, że przybył do rzeczywistych swoich rodziców, czego zrazu dziecinnym rozumem pojąć nawet nie mógł i sądził, że to jest jedna z dykteryjek, którymi go nieraz opiekun jego przed ułożeniem do snu wieczorami zabawiał. Dopiero później wszystko w rzeczywistość poczęło się zmieniać, jak zobaczył rówieśników swoich, których braćmi kazano mu nazywać i gdy potem zaprowadzono do dużego dworu przed jakichś państwa — byli to rodzice jego naówczas właśnie bawiący w domu i ci pochwalili opiekuna za dobre odchowanie dziecka. Ojciec mój jednakże pomimo dawanych rozkazów, co ma dalej robić, to jest, aby szedł do oficyny, uporczywie trzymał się poły surduta tego, którego za ojca dotąd uważał. Musiano więc nakoniec prawie gwałtem oderwać go od jego dotychczasowego opiekuna i przy największym ryku i płaczu zamknąć w osobnym pokoju.

—

Przez trzy dni nieutulony w płaczu i smutku nie przyjmował żadnego prawie posiłku ; w końcu gdy natura tę siłę woli zwalczyła, po przepędzonej

spokojniejszej nocy posilił się pierwszym śniadaniem i odzyskał wolność, a

guwerner w nagrodę pozwolił mu się po obiedzie zabawić z chłopcami, czyli starszymi jego braćmi.

Na drugi dzień ułożył sobie ojciec skrycie plan ucieczki do kochanych swoich opiekunów, do których tęsknił niewymownie.

Przygody dalsze tak mi sam opowiadał:

Pod wieczór, kiedy się już dobrze mroczyć poczęło, wyszedłem pod zmyślonym

pozorem do ogrodu i przez gęsty szpaler grabowy dostałem się na pole pokryte

wyrośniętym i gestem zbożem. Było to w końcu czerwca, mogłem więc niepostrzeżony

przez nikogo ubiedz jak zagajem, który w zupełności wzrost mój zakrywał, spory

kawał drogi; w końcu zatrzymałem się bo i łan zboża przerzedzać się począł. Lecz

cóż dalej robić? Siedmioletni rozum odradzał mi wracać tą samą drogą, więc nie

namyślając się długo, poskoczyłem szybko na jakąś polną drożynę i tą ubiegłszy

spory kawał, natrafiłem na nowy łan zboża. Wszedłem więc w sam środek a znużony

przysiadłem, by spocząć i sen mimowoli skleił mi powieki.

Noc krótką w tej porze przespałem nie obudziwszy się aż ze wschodem słońca;

obfita rosa przy pogodnym dniu czerwcowym orzeźwiła trochę zboliałe od twardego

łoża młode członki, przypomniałem sobie dzieje dnia poprzedniego, ale zdjęty

strachem obawia-

łem się wyrzec ze swego schronienia, aby nie być spostrzeżonym.
Okolica była mi
obcą, bo prócz wioski, w której się chowałem, nie znałem dotąd nawet
nazwiska
żadnej miejscowości; lecz należało coś postanowić. Chyłkiem więc
dostawszy się
do głębszego wygonu, którym mogłem swobodnie postępować,
wydostałem się na
otwarte pole, przetrzięte wysadzonym dość szerokim traktem; tym
zrazu ostrożnie,
następnie ułamawszy pęd z wierzby, przedstawiający podróżny kijek,
kroczyłem już
śmieiej prostą drogą. Idąc tak dość długo ujrzałem przed sobą wieś
szeroko
zabudowaną, w jednym końcu stał wiatrak, a w przeciwległej stronie
kościół i
zabudowania miejscowego proboszcza. Z bijącym sercem i obawą
błąkać się zacząłem
po wsi w zamiarze uproszenia sobie pożywienia, gdyż głód po takim
spacerze i
spędzonej na świeżem powietrzu nocy dokuczać mi zaczął ; nie
miałem jednak tej
śmiałości, aby wprost wejść do której chaty. Błąkając się tak
zauważyłem, że
jakiś człowiek, z waszecia przybrany, idzie za mną i ciekawie zaczyna
mi się
przypatrywać, w końcu zaś przybliżył się do mnie i zapytuje:
— Coś ty za jeden, mój chłopcze, co się tu tak błąkasz po wsi?
Nie odebrawszy ode mnie zaraz odpowiedzi, a widząc zaleknioną
minę i rumieniec
występujący na twarzy, rzecze :
— Ty musisz być jakiś włóczęga i uciekasz pewnie ze służby ? Co,
nieprawda
malcze ?
Wyrzekłszy te słowa dość podniesionym i tubalnym głosem, chwycił
mię nagle za
rękę i krzyknął :

—
— Chodź hultaju, zaprowadzę cię do naszego proboszcza, on cię zaraz zmusi do gadania, ty łotrze jakiś! Jakie to małe, a kieruje się już na złodzieja! Ja wybuchnąłem natenczas rzewnym płaczem, lecz on nie uważając na to, przy towarzyszeniu szturchańców, które jeszcze płacz mój zwiększały, poprowadził mnie ku kościołowi.

Właśnie proboszcz, figura dość wysoka, z wejrzeniem groźnem, liczący około trzydziestu lat wieku, powracał z kościoła po mszy rannej do plebanii, posłyszawszy podniesiony głos swego organisty i mój płacz stanął na cmentarzu kościelnym i przyłożywszy dłoń do oczu dla osłony od słońca zawołał:

— A kogo to asan prowadzisz ?

— A to, proszę jegomości — ozwał się sługa kościelny — chłopiec ten włóczy się po wsi, widać łotr jakiś, ucieka ze służby, a nie chce powiedzieć, co za jeden; prowadzę go tu do dobrodzieja, może się co prędzej od niego dobrodziej dowie.

— A daj go tu, daj — zawołał proboszcz.

Posunęli się już obadwa ku plebanii, trzymając mnie jako delikwenta pomiędzy sobą i prawie gwałtem wepchnęli do pierwszej izby.

Zamknawszy drzwi, zabrał się proboszcz do egzaminowania, ale gdy żadnej odpowiedzi oprócz płaczu ze mnie dobyć nie mógł, zniecierpliwiony tym moim uporem porwał wiszący na gwoździu batożek, boćkowski w owych czasach zwany, i kazawszy przytrzymać mię organiście w pozycyi do tego dogodnej, wyciął mi porządny raz wołając:

— Gadaj, smarkaczu, coś za jeden, bo dopóty bić będę, póki mi nie powiesz.

Ten raz pierwszy zniosłem mężnie, jak na mój wiek, skrećiwszy się tylko z

bólu; drugi raz wywołał już krzyk, za trzecim zaś batem, nie mogąc dłużej

wytrzymać, zawołałem z całych sił:

— Ja jestem kasztelanie z Płowieć ! !

Na te moje słowa organista odskoczył nagle ode mnie jak oparzony, a proboszcz

zmieszany zrazu, porwał mię płaczącego w ramiona i utulając jak mógł» powtarzał:

— A czemuś mi tego, kochane dziecko, nie powiedział odrazu.

Porwał też wnet ze stołu przygotowany dla niego samego po mszy przez

gospodynią chleb z masłem do kawy i rzecze:

— Naści, kochanku, możeś głodny...

Ja łkając jeszcze chciwie ten specyał spożywałem; proboszcz zaś tymczasem

nalął mi kawy i tym mnie do reszty rozbroił, a chcąc wynagrodzić wyrządzoną

przykrość, głaskał ciągle po głowie i twarzy, powtarzając :

— Pij, dziecko, pij, już ci żadnej krzywdy nie zrobię, ale bądź grzeczny i

powiedz mi, jakim sposobem dostałeś się do naszej wioski.

Lecz jeszcze żadnej odpowiedzi ze mnie wydobyć nie mógł; dopiero porwawszy

kawałek cukru, odezwał się:

— Dostaniesz to, a powiedz jak ci imię.

Na widok tego przysmaku, przypominającego

mi moich kochanych opiekunów, od których często go dostawałem,
nieśmiało jeszcze
i cichym głosem wyrzekłem :

— Wicuś.

— No, Wicusiu — rzekł ksiądz — opowiedz mi, czyś się może
zabłąkał przypadkiem,
jakim sposobem?

Powoli, przez wyrywane moje odpowiedzi, domyślił się proboszcz
prawdy i
widząc mnie już spokojniejszym, posadził na krześle, a tymczasem
zaczął się
naradzać ze swym organistą, co ze mną dalej począć? jak zatrzeć ten
crimen, że
targnął się na dziecko znanego w okolicy magnata, i długo się też nie
mógł
uspokoić. Po cichych szeptach ze swym w służbie Bożej
pomocnikiem, postanowili,
abym dnia tego jeszcze na plebanii pozostał, a nazajutrz zrana po
mszy świętej
miał mnie proboszcz odwieść do moich rodziców, skąd tak
niespodzianie zniknąłem.

Zawsze jednak nie spuszczano mnie z oczu, abym i z plebanii nie
drapnął.

Tymczasem we dworze w Płowcach wieść o zniknięciu mojem
jeszcze się nie
bardzo rozgłosiła; trzymana była w tajemnicy mianowicie przez pana
dyrektora,
którego pieczy powierzeni byli panicze. On bowiem właśnie tego
wieczora, kiedym
się ucieczką salwował, wybrał się był na umówionego z rezydentami
ćwiczka i
lampeczki, przykazawszy nam położyć się na spoczynek i
oświadczając, że zaraz
powróci. Ale partyjka, jak na nieszczęście, przeciągnęła się aż do
rana, a
powróciwszy z trochę zapróżoną głową chyłkiem do szkoły, nie
spozstrzegł, że mu
jednego malca

brakuje. Dopiero przy śniadaniu zrobił się rejwach; pan guwerner przestraszony, zapowiedział moim braciom pod najsurowszą karą, której w danym razie nie szczędził, aby nic o tern nie mówili nikomu, sam zaś zajął się tajemnie poszukiwaniem. Zrazu sądził, że mnie znajdzie gdzieś uśpionego w obszernym ogrodzie, ale poszukiwania jego, naturalnie, żadnego nie odniosły skutku; przeszedł się parę razy po wsi, lecz i tam na ślad natrafić nie mógł. Powrócił więc zgryziony w najgorszym humorze do szkoły i w najdotkliwszy sposób wywierał swój gniew na moich braciach.

Najgorszą dla niego chwilą był obiad, bo tam zwykle przyprowadzał swoją szkołę i z paniczami na szarym końcu siadywał. Szczęśliwie się jakoś złożyło, że w tym dniu oprócz domowników dosyć się zjechało zagórskich gości, stół był długi i rodzice moi zajęci przybyłymi nie zwrócili uwagi na brak jednego syna.

Tak więc jakoś uszło szczęśliwie panu guwernerowi, a bracia moi podług zakazu — milczeli.

Po obiedzie jednak pan dyrektor zaczął się namyślać, co dalej robić? Zwierzył się ze swego strapienia zaufanemu przyjacielowi, jednemu z rezydentów, i na wspólnej naradzie stanęło, aby wysłać posłańca do moich dawnych opiekunów, sądzili bowiem, że tam prawdopodobnie musiałem się udać.

Całe pół dnia do późnego wieczora upłynęło w niecierpliwem oczekiwaniu, lecz

naprózno, bo zaufany pana profesora wysłaniec miał sobie zaleconem,
że gdyby
mnie nie znalazł u dawnych moich opieku-

—

nów, czynić w okolicy poszukiwania na przypadek, gdybym się
gdzieś w nieznanach
mi stronach zabłąkał.

Tymczasem na trzeci dzień po mojej ucieczce około godziny
jedenastej z rana
zajechała w Płowcach przed bramę bryczka, wysiadł z niej jakiś
nieznany tam
jeszcze ksiądz świecki, wysadził za sobą chłopca i wiodąc go za rękę,
kroczył
poważnie obszernym dziedzińcem prosto ku dworowi.

Pan dyrektor w swej alteracyi drażliwy na każdy ruch w dziedzińcu,
pierwszy
sposzregł postępującą parę i wyskoczywszy ze szkoły w kilkunastu
susach,

dopędził proboszcza; poznawszy zaś mnie, zawołał:

— A ty malcze, gdzie się włóczyłeś? Proszę dobrodzieja to tutaj
trzeba

zaprowadzić tego chłopca —dodał, wskazując na oficynę.

—A kto waść jesteś — ozwał się ksiądz i zmierzył go groźnie
oczyma.

— Właśnie jestem nauczycielem dzieci tutejszego dziedzica — odparł
pan dyrektor

— i ten chłopiec memu dozorowi jest powierzony.

Ja wtenczas przebiegłem na drugą stronę mego terażniejszego
opiekuna, a on

odrzekł podniesionym głosem :

— A to mi pan śliczny dozorca, że z pod twojej opieki wymykają się
oto takie

dzieci, których przecież nie tak trudno utrzymać w ryzie. Pan Bóg
łaskaw, że się

to do mnie przy błąkało, a niechby go przypadkiem wilcy były
rozszarpały,
których tu w okolicy dosyć jest, lub zły człowiek dostał w swoje
szpony. Nie,
panie dobrodzieju, ja melduję się wprost przed

—

samego pana kasztelana, i jemu tę rzecz całą opowiem. — I posunął
się ze mną
szparkim krokiem do domu.

Nauczyciel próbował jeszcze zmiękczyć księdza i prosił:

— Zmiłuj się Jegomość! Zgubisz mnie na całe życie !

Ale i to nic nie pomogło; tymczasem zaś na dziedzińcu ten i ów
zaczął się tej
scenie przypatrywać, a naprzód wysunął się poważny z siwym wąsem,
miłego
oblicza, czerstwy jeszcze starzec, ubrany z waszecia i skłoniwszy się
słudze

Bożemu do kolan, zapytał, czego sobie życzy.

— Chciałem się — mówi ksiądz — zameldować JW. kasztelanowi
jako proboszcz z

niedalekiej tu parafii, bo odwożę mu syna. A kto waszmość jesteś?

— Jestem, do usług księdza proboszcza, Szczepan, kamerdyner JW.
pana; proszę za
mną.

Tymczasem pan dyrektor jak zmyty powrócił wolnym krokiem do
szkoły,
rozmyślając, co z tego dalej będzie.

Szczepan wprowadził proboszcza razem ze mną do obszernej sali,
której ściany
zamalowane były różnymi widokami, pośrodku u sufitu zawieszony
był duży

świecznik, pajakiem zwany, pod nim stół długi, snąc na duże
przyjęcia

przeznaczony, w koło ścian poustawiane liczne krzesła, w kącie z
jednej strony

olbrzymi kredens, z drugiej piec wielki kachlany na nóżkach, w którym paliwo było urządzone z sieni.

Niedługo otworzyły się drzwi z drugiej strony

komnaty i wszedł niemi mężczyzna średniego wzrostu, około pięćdziesięciu lat mieć mogący, miłego dość oblicza, z trochę już przerzedzonym włosiem i wielkich wypukłych oczach, świadczących o krótkim wzroku, ubrany w ówczesny strój mody francuskiej i zbliżając się do księdza, pozdrowiony został przez tegoż słowami:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Na co z całym poszanowaniem odpowiedział:

— Na wieki wieków amen; a cóż tu księdza dobrodzieja w me progi sprowadza?

— Jestem proboszcz parafii O...), niedaleko stąd odległej, sprowadza mnie tu

interes do JW. pana kasztelana, dosyć ważny, a jego bliżej obchodzący. Oto

wczoraj rano około ósmej godziny w naszej wiosce błąkał się chłopiec, sługa mój

kościelny przyprowadził go do mnie i przekonałem się, że to jest syn JW pana.

— Co! co! — zawołał, poruszywszy się gwałtownie z miejsca kasztelan.

Przez całą tę rozpoczętą audyencyę ja trzymając się sutanny proboszcza, kryłem się za nim.

— Gdzież on jest i jak mu na imię? — zawołał oj ciec.

— Pan Wincenty jest tu JW. panie — odrzekł proboszcz i obrócił się chcąc mnie

postawić przed obliczem ojca; ale ja wciąż obracałem się wokoło z księdzem, aż dopiero przywołany w pomoc Szczepan odczepił mnie i osobno postawił.

) Zapewne Osięciny.

——

— Jakim sposobem tam się do proboszcza dostałeś? Co cię znagliło do ucieczki? —

spytał ojciec — ja nic o tem nie wiem.

Lecz gdy ja milczałem, rzecze:

— Przecież dzieci moje są pod nadzorem nauczyciela, jak się to mogło stać?

— W tem też cała wina — ozwał się ksiądz — że dozoru nie było JWpanie. Czujęm

się też w obowiązku jako pasterz, w którego ręce sam los szczęśliwy powierzył mi

tak drogi skarb, aby go samemu panu kasztelanowi doręczyć; wnoszę tylko prośbę,

aby dziecina żadnej stąd karze nie podległa, bo wina tu na kogo innego spada.

— Ależ dobrze, dobrze, przyrzekam ci to szanowny księżu — mówił ojciec — lecz

sprawiedliwość musi być wymierzona i wdzięczność moja dla ciebie nie będzie

zapomniana. Szczepanie, zawołasz mi tu w tej chwili pana dyrektora.

Teraz dopiero zaczął mi się ojciec przypatrywać przez szklę, których używał,

obracając mnie dokoła.

— Proszę cię, szanowny proboszczu — rzekł, zwracając się do księdza — siadaj,

bądź u mnie gościem, jak mój syn był u ciebie od wczoraj,

spodziewam się, że nie

odmówisz mi i pozostaniesz u nas na obiedzie, bo i koniki trzeba popaść.

— Zgadzam się na wszystko najchętniej JWpanie, ale po obiedzie muszę zaraz

odjechać, bo mnie obowiązki parafialne powołują i trzeba mi być przed wieczorem w domu.

— A to już zrób, jak ci najdogodniej, ale to za

—

warunek kładę, że odtąd częściej mój dom odwiedzać będziesz, o ile ci księżę

proboszczu czas twój na to pozwoli.

— Będę to sobie miał za szczęście życzeniu JW. pana zadość uczynić.

Tymczasem Szczepan w jakiś kwadrans czasu wprowadził

postępującego nieśmiało za

nim guwernera, który w postawie pokornej stanął przy drzwiach.

— Dlaczego acan nie zameldowałeś mi zaraz — odezwał się kasztelan

— o zniknięciu

mojego syna Wincentego, powierzonego twojej opiece i dopiero się dziś o tem

dowiaduję, a gdyby nie ten tu zacny kapłan, byłbym zapewne i do tej pory o tem

nie wiedział.

— JWpanie — odpowie nieśmiało jękając się pedagog — bo... bo...

— Tu nie ma żadnego tłumaczenia mości panie, od tej chwili

zwolniony jesteś od

swojego obowiązku, dziś jeszcze opuścisz mój dom. — A obracając się do

Szczepana, dodał: — Idź do dyspozytora, niech obliczy tego pana, zapłaci i do

najbliższego miasta odeszle.

Po takim dictum acerbum znając stanowczość słów, w wielu razach, kasztelana,

pan profesor wyniósł się za drzwi, a ja ośmielony przypadłem do ręki ojca, którą

z dziecinną pokorą ucałowałem, za com został zapewne pierwszy raz
w życiu przez
ojca pogłaskany po głowie.

Wtem otworzyły się drzwi i weszła moja matka, uprzedzona już o
całej tej
historii przez rezydenta, który dowiedziawszy się o wszystkim co
zaszło od
profesora, a reszty dosłuchawszy pode drzwiami podczas

audyencyi z proboszczem, uznał za stosowne podchlebiając się pani
kasztelanowej
całe to zdarzenie co prędzej opowiedzieć, by tem sobie jej łaskę
zaskarbić.

Groźna postawa, jaką względem mnie wchodząc przybrała, nie
wróżyła mi nic
dobrego, ale łagodny ton kasztelana w rozmowie prowadzonej z
proboszczem
zmitygował widać nieco jej gniew, skłoniwszy się więc z godnością
księdzu,
przystąpiła do mnie i podniósłszy ręką moją brodę, spojrzała w twarz.
— A ty smarkaczu jakiś —| ozwała się — to ty takie figle umiesz
płatać, muszę
ja cię mieć teraz więcej na oku, abyś na łotra nie wyszedł. No, marsz
do szkoły,
do braci.

I zwracając się do Szczepana, dodała:

— A ty odprowadź chłopca i powiedz, aby go pilnowano do mego
tam przyścia.

Kontent, żem się wydostał z tej łaźni, postępowałem za Szczepanem
przez
obszerną sień, w której ciekawie zgromadzeni rezydenci i służba
wyglądająca z
kredensu, a za nimi lokajczyki i pomywaczki cisnęli się, aby mi się
przypatrzyć;

świadomi już nieco mojej historii od wyrostka księdza proboszcza, z zatajeniem tylko owych trzech batów, które na plebanii dostałem. Znać zacny kapłan o tem słudze swojemu surowo milczeć zalecił.

Dochodząc do oficyny ze Szczepanem, spotkaliśmy już profesora, wynoszącego swoje węzełki z ma-natkami. Spojrzał na mnie groźnie i nie wyrzekłszy ani słowa, udał się ku wsi, a ja zostałem wprowadzony

do stancyi, gdzie bracia moi z wyjaśnionemi twarzami ciekawie mi się przypatrywać zaczęli.

Po wyjściu Szczepana, który z całą swoją pocziwą powagą zalecił nam, abyśmy się spokojnie zachowali, gdyśmy zostali sami nastąpił gwar, hałas, klaskanie w ręce moich braci.

— Niema go! niema! ach jak to dobrze! Zrazu mało co zrozumieć było można, w końcu

obstąpili mnie dokoła, a było ich trzech, różniących się tylko nieco wzrostem i

jako bohatera zasłanych wypadków poczęli ciekawie oglądać.

— To ty nasz brat! — odezwał się jeden — skąd ty się wzięłeś?

I począł mnie całować.

— Jak my cię kochamy, żeś tego naszego guwernera stąd wypędził; teraz to dopiero

będzie nam dobrze! Nie będziemy się nic uczyć, tylko bawić; umiesz ty baka

puszczać? Czekaj, ja ci zaraz pokażę.

— Ale, ale! wy się tak cieszyce — odezwał się starszy — niedługo nam dadzą innego.

— Tak — odrzekł drugi — to nic, ale przez ten czas możemy dokazywać; ot wiecie co, zagrajmy sobie w ślepą babkę! albo nie, w schowanego; on tak umie się kryć — i wskazał na mnie. — Jak ci imię, bo zapomniałem. — Wicuś — odrzekłem. Zabawa pomiędzy dziećmi, mianowicie wśród rodzeństwa, naturalnym pociągiem zawiązuje się łatwo; poszła więc nam zwawo, a że przez pedagoga opróżniona izba nadawała się do tego, więc wśród hałasu

—

i śmiechu czas nam szybko schodził. Zarumieniły się twarze od tej bieganiny, kiedy naraz wpada sługa dworski i woła: — Panicze na obiad. Uspokoiwszy się nieco i wygładziwszy poczochrane zabawą włosy, udaliśmy się do dworu. Zwyczajem było, że wszedłszy do pokoju z największym uszanowaniem, bez hałasu i szurgania nogami, stawali panicze rzędem przy drzwiach, a skłoniwszy się zgromadzoną już osobom, trzeba było tak stać, dopóki nie zbliżyła się matka. Następową ceremonią wystawiania rąk przed siebie i po zlustrowaniu, że są umyte i paznokcie obcięte a ubranie w porządku, udzielone było pozwolenie zajęcia miejsc przy stole na szarym końcu. Rodzice w dni zwykle siadali na pierwszym miejscu, dalej rezydenci i fraucymer zawsze z dobrymi apetytami, więc paniczom dostawały się zwykle resztki lub tylko sos; często zatem głodno

wstawało się od stołu. Ojciec mój i matka jedli szybko i nie lubili
długo
wysiadywać przy stole; skoro się podnieśli, wszyscy niedojedzone
potrawy
opuszczali, a panicze czasem i nie skosztowali ich nawet na szarym
końcu; trzeba
więc było głodne młode żołądki czemkolwiek dopychać. Letnią porą
to pół biedy,

bo obszerny ogród dostarczał owoców i warzywa, zimą było gorzej,
ale i to się
jakoś przeżyło.

Po obiedzie udaliśmy się z uciechą do naszej oficyny, bo czekała nas
tam
swoboda i nowa zabawa. Lecz jakże przerażeni zostaliśmy,
spostzegając na środku
izby jakąś starą drewnianą skrzynkę, zamkniętą

--

na dwie potężne kłódki, a na niej w pęk związaną pościel.
Spojrzeliśmy smutno na
siebie i w wejrzeniu każdego wyczytać można było ten domysł, że
nowy tyran już
się do nas sprowadził. O rozpoczęciu więc zabawy żaden z nas ani
wspomniał;
posmutnieliśmy bardzo. W pół godziny może otworzyły się drzwi i
wszedł jeden z
rezydentów naszych rodziców.
— No chłopcy — odezwał się — ja tu teraz z wami zamieszkam, póki
nie zjedzie
nowy nauczyciel, a będę was w ryzie trzymał, ot tak!
I ścisnął w pięść żylastą rękę.
— Żeby mi który nie drapnął, jak to zrobił ten łotrzyk, skórka na buty!
Tu wstrząsnął moją głową.
— A zapowiadam, że jak wy będziecie dobrzy i grzeczni, to i mnie
choć do rany

przyłóż, a jak nie, to...

I gestem prawą ręką wymierzał razy w powietrzu, zaśmiał się na całe gardło,

aż się ściany izby zatrzęsły, a potem zapiał kukuryku jak kogut tak wybornie,

żeśmy się wszyscy chórem rozśmieli.

Pokazało się, że to był poczciwości szlachcic, umiejący się zastosować do

naszego młodocianego wieku, przytem figlarz i krotofilny bardzo, udawał głosy

ptaków różnych i zwierząt do złudzenia, przytem bawił się nieraz z nami jak

młody, chodził na spacerzy i tam wymyślał nam różne zabawy, dlatego wkrótce

polubiliśmy go bardzo.

Tak tedy wcieliłem się wkrótce w rodzinę moją

—

i rozpocząłem nowe życie, obznajamiając się ze zwyczajami na dworze rodziców.

Po odjeździe proboszcza w jaki tydzień może przyjechał mój dawny opiekun z

raportem do swego dziedzica, a dowiedziawszy się całej historii mojej ucieczki

od Szczepana, który był wujem jego żony, a mojej pierwszej opiekunki,

przywitawszy mnie, rozplakał się poczciwiec jak bóbr, przyciskał do swoich

piersi i obcałowawszy, polecił mnie Szczepanowi jako krewnemu w szczególniejszą

opiekę ; co ten mu najsolenniejsz przyrzekł.

Miałem więc w Szczepanie silnego protektora, a wiele to w owych czasach

znaczyło, jak się w ciągu mego dalszego opowiadania okaże. Tu dodać muszę (pisze

Antoni), że w lat może czterdzieści później, kiedy mój ojciec (kasztelanie Wincenty) posiadał majątek Koneck, w sąsiedniej parafii proboszczem był sędziwy już, bo przeszło siedemdziesiąt letni kapłan, który ojcu owe trzy baty wsypał i na dobre mu one wyszły. Sędziwy ten proboszcz, jako najstarszy w dekanacie, zawsze był proszony na odpusty parafialne z celebrą. Mój ojciec, jako kolator, i piszący te słowa, znajdowaliśmy się nieraz na obiedzie u miejscowego proboszcza pośród grona księży i sąsiednich obywateli, a mój ojciec opowiadał całe to swoje młodocianego życia zdarzenie wśród ogólnego śmiechu i wesołości. Sędziwy staruszek był zawsze tem niezmiernie zakłopotany, utrzymując, że dał tylko dwa baty, a mój ojciec się z nim spierał, że trzy; ale to na jedno wychodziło.

Lecz wracam do opowiadania mego ojca. Parę tygodni upłynęło nam jak najweselej, w swobodzie, bośmy się nic nie uczyli, zanim nam nowego pedagoga sprowadzono. Nie będę opisywał jak mi szły pierwsze początki nauki, przeplatane łzami i goryczą młodocianego wieku, bo tych sami doświadczałoście czytelnicy na sobie, przejdę raczej do dalszych wypadków. Opieka matki naszej nad nami była jakby fantazyjną, szczegóły zwykłe powierzała dozorczyńni, która się nami zajmowała. Troskliwość matki posuwała się

jednak niekiedy do drobiazgów. I tak, gdy który zachorował,
wymyślała
najobrzydliwsze lekarstwa, a te należało zażyć bez skrzywienia; lub
często z
rana, gdyśmy jeszcze z łóżek nie powstawali, odbywała rewizję pod
kołdrą, czy
tam wszystko jest w porządku; w przeciwnym razie zdejmowała z
nogi trzewik i nim
wymierzała karę, a że ja nie zawsze byłem dość ochędożny,
połyszawszy więc
wejście matki, odwracałem się zaraz do ściany w pozycji do tej
operacji
dogodnej, przez co unikałem przedwstępnych razów po innych
częściach ciała. Ale,
czy mówimy pacierz, czy jesteśmy nakarmieni jak należy, o to się nie
pytała
wcale.

Zwyczajem było, że młodszy, gdy starszy wyrósł z ubrania, dodzierał
je po
nim. Blisko w rok po mojem przybyciu w dom rodzicielski ojciec mój
powrócił był
z Gdańska, gdzie rok rocznie spławiał zboże, gdyż to był jedyny i
najbliższy
port, kędy można było znaczniejsze partye krestencyi spieniężać,
mianowicie
psze-

--

nicę, która w majątkach ojca rodziła się obficie. Owóz przy innych
sprawunkach,
co się tam zwykle w znacznych zapasach kupowały do domu,
przechodząc ojciec mój
ulicą, gdzie się jakiś sklep wyprzedawał przez publiczną licytację,
postąpił
talara, zalicytowawszy jakiś towar i nie słysząc nawet poprzednio
wygłoszonego

przedmiotu i utrzymawszy się przy nim nie oglądając, gdyż jakoś nie
miał czasu,
zapłacił i kazał odesłać do swego mieszkania. Dopiero po
rozpakowaniu w domu
pokazało się, że to były trzy postawy sukna, ale dziwnego, bo ciemno
pomarańczowego koloru w jakieś pasy. Co tu robić z taką ilością
sukna jednej
barwy? Naprzód więc porozściełano chodniki przez wszystkie pokoje,
obito w
sieniach i gościnnych pokojach sofę i krzesła, poszyto dery na konie,
poobijano
niektóre powozy i kolasy i wreszcie — porobiono paniczom ubrania.
Chodziliśmy
więc w jednym uniformie, z czego byliśmy bardzo zadowoleni,
choć goście
nieraz zobaczywszy nas, uśmiechali się nieznacznie na tę arlekinadę.
Dziś
wyśmianaby ona była, ale dawniej wszystko to uchodziło, zwłaszcza
w pańskim
domu. Sukno to długi bardzo czas tułało się na dworze moich
rodziców zanim
wyszło z użycia. Ja chodząc w takim uniformie, zrobionym w
kształcie bluzy dziś
używanej, pyszniłem się nim bardzo; przyszła mi też myśl, jakby to
było pięknie
tak naokoło na dole powycinać zęby i tern zafrapować rodziców i cały
dwór.
Zadowolony z mego pomysłu raz przed obiadem zdobyłem jakieś
nożyczki i
dopełniwszy tej operacji, pośpieszyłem, gdy nas zawołano, na obiad,

dumny, że mi się to tak pięknie udało. Przy zwykłej lustracji
matczynej
wysunąłem się naprzód nieco, by tern większe wywołać wrażenie.
Matka zmierzyła

mnie groźnym swym wzrokiem i po odbytej rewizyi rzekła:

— Pan Wincenty po obiedzie pójdzie ze mną do sypialnego pokoju.

Kontent byłem, że mnie tam przynajmniej w nagrodę piernik czeka;
lecz matka

zdjęła z gwoźdźcia łokieć i porządnie mnie nim obiała, powtarzając za
każdym

razem:

— A nie psuj smarkaczu sukni, bo na nią pewno nie umiałbyś jeszcze
zarobić!

Matka moja namiętnie lubiła psy i koty oraz wszelkie dające się
przyswoić

dzikie zwierzęta. Stworzenia te pieszczone i pielęgnowane były ze
zbytkiem;

każde miało swoje osobne w koszyku wysłane wygodnie legowisko,
karmione do syta,

więc obrzydliwie tłuste, nieprzywykłemu do tego sprawiały w
pokojach nieznośne

powietrze. Często chory faworyt taki do późnej starości pędził swój
nieznośny

żywot aż do zdechu; a było tego kilkanaście egzemplarzy.

Kasztelan nie znosił tego towarzystwa zwierząt, ale łagodny mąż
cierpieć

musiał; drażliwy był mianowicie na hałas, jaki swem szczekaniem
sprawiały psy,

gdy kto wchodził, szczególnie zaś odznaczały się tern tak zwane
szpice.

Pomiędzy faworytami w wielkich też łaskach był i przyswojony
borsuk, borsuniem

pieszczotliwie zwany ; używał on wszelkiej swobody, wolno mu było
chodzić po

wszystkich pokojach, po ogrodzie, a za nieporządek nigdy nie był
karany. Miał

ten zmysł

zwierzęcy, że gdy się zbliżała pora obiadowa, tak jakoś potrafił się dopilnować,
iż skoro zupełnie na stół wniesiono, wskakiwał i umaczawszy swój pysk, chleptał z
nalanych talerzy i zanieczyszczał jedzenie. Nikt go nie śmiał spędzać, dopóki
sama pani tego nie spostrzegła, a wtenczas chustką delikatnie niby biła go i
odpędzała, wołając: »A borsuś niegrzeczny! co robi!«
Jemu pierwszemu dostawał się też talerz nalany. Każdy musiał bez skrzywienia
zajadać przez faworyta zanieczyszczoną zupełnie, nie chcąc na niełaskę pani
zasłużyć.

Raz przed przyjściem matki naszej do stołu ojciec rozgniewawszy się na
faworyta, wykrzyknął z passją:
— A! co to za nieznośne stworzenie, gdyby mu się tak kto przysłużył, a dobrze,
wcalebym się o to nie gniewał.

My, cośmy go także nie lubili, porozumieliśmy się tylko wzrokiem, ale matka
weszła i obiad przeszedł zwykłym trybem.

Borsuś, jak się to wyżej powiedziało, robił wycieczki do ogrodu, bo mu tam
bardzo smakowały upadłe dojrzałe z drzewa owoce. Nad wieczorem tegoż dnia,
gdyśmy oddawali się miłej zabawie w gęstych grabowych szpalerach w ogrodzie,
borsuś nawinął się nam jakoś z nienacka; w jednej chwili, zwabiwszy go w
największy gąszcz, zaczęliśmy faworyta porządnie okładać kijami. Wiadomo, że
zwierzę to nie może szybko uciekać, zrazu broniło się biedne stworzenie,
odcinając się jak mogło, ale silne razy, których dostał blisko trzysta, obezwładniły go zupełnie. My też są-

dząc, żeśmy go już życia pozbawili, uciekliśmy w przeciwną stronę
ogrodu,
przysięgając sobie dochowania tajemnicy z dokonanego przez nas
bohaterskiego
czynu. Do kolacyi naturalnie borsuś nie stawił się podług swego
zwyczaju; matka
nasza skutkiem nieobecności faworyta była w nieswoim trochę
humorze, ale nikt
więcej tego jakoś nie zauważył. Na drugi dzień biedne stworzenie
otrzeźwiwszy
się trochę przez noc po odebranej łaźni, zbolełe, z opuchniętym łbem,
przywlokło
się pod okna sypialnego pokoju mojej matki; tam ledwie dysząc
położyło się na
ścieżce. Matka, odbywając ranną przechadzkę, napotkała swego
ulubieńca w tym
opłakanym stanie; w rozpaczy, zwoławszy swój fraucymer, kazała go
przenieść do
pokoju i domyślając się po widocznych śladach katastrofy, spirytusem
zaczęła mu
własnoręcznie otrzeptywać rany i płatami owijać, objawiając swój żal i
humor w
najnieznośniejszy dla wszystkich sposób. Delikwent leżał na trawniku
przed
domem, niepodobny do boskiego stworzenia w zaimprovizowanym
stroju, ledwo
dychał.

Wiść o tej katastrofie faworyta rozbiegła się szybko we dworze, ale
jakoś
nikt nie podzielał smutku mojej matki; owszem, przy obiedzie każdy
jadł z
większym apetytem, mimo, że obiad przeszedł w milczeniu skutkiem
bardzo złego
humoru pani. Nad wieczorem biedny borsuś zdechł, a my ze strachem
ponowiliśmy

sobie przyrzeczenie milczenia o czynie naszym do grobowej deski. Po humorze ojca poznaliśmy, że był z tego wypadku zadowolony, lecz matka długo swego fawo-

ryta zapomnieć nie mogła i podejrzywała w tem bezpośredni udział naszego ojca.

W parę miesięcy później, kiedy o tem zdarzeniu cały dwór już prawie zapomniał, matka nie mogąc widać tak łatwo tego przetrwać, a lękając się o los innych swoich faworytów, powzięła zamiar zabezpieczenia się nadal i zaproponowała mężowi w najlepszy sposób przeniesienie się ze swojemi pieczętami do wsi najbliższej położonej; a że takowa nadawała się wybornie do tego, bo w niej był dosyć wygodny dwór, ojciec mój przy nadzwyczaj łagodnym swem i pobłażliwym usposobieniu zgodził się na tę fantazyę swej żony. W parę tygodni matka nasza przeniosła się do nowej swej rezydencji, którą gołem okiem można było dobrze widzieć z naszego ogrodu i o każdym tam ruchu być powiadomionym.

Rodzice moi prawie codziennie, gdy na to pogoda pozwalała, odwiedzali się wzajemnie i to nawet w miły sposób urozmaicało ich pobyt na wsi. Matka zwykle przyjeżdżała na obiad, ojciec zaś w innych godzinach wizyty odbywał. Tak więc słabość ta kasztelanowej przemogła nad obowiązkiem żony i matki, co byłoby dziś za złe poczytanem, dawniej zaś wcale to jakoś nie raziło w magnackich rodzinach.

W czasie wizyt mojego ojca, zgraja ta faworytów uważając go już widać teraz

za obcego przybysza, zwykle całą gromadą wyskakiwała ze swoich wygodnych łożysk i nieznośnie przeraźliwym szczekaniem hałasowała nie mogąc się uspokoić; tylko jedna matka zdolna była uciszyć tę rzeszę napastników, ale przez

kwadrans blisko nie można było przyjść do słowa. Stąd ojciec mój tak znienawidził tę hałastę, że wizyt swoich z tego powodu często zanieczywał.

Raz przy obiedzie, na którym matka moja dla niedyspozycji zdrowia nie była

obecna, odezwał się ojciec:

— Jaby tam u jejmości i częściej bywał, ale te psy i koty są nieznośne.

Jeden z rezydentów namotał to sobie jakoś w pamięci i pod stołem zawiązał

potężny supel na kraciastej czerwonej chustce, której zażywając tabakę często

używał. W parę dni wybrała się matka swoim zwyczajem na obiad, czego właściciel

czerwonej chustki niecierpliwie wyglądał i dopatrzwszy, że karoca JW.

kasztelanowej ruszyła z przed jej domu, sam chyłkiem po za opłótkami dostawszy

się następnie do głębokiego rowu, który podprowadzał pod wieś, gdzie matka nasza

mieszkała, dostał się ostrożnie do dworu. A że służba korzystając z niebytności

pani wnet się porozchodziła, wemknął się przez nikogo nie widziany do pokoju i

zamknawszy za sobą drzwi na klucz, dostał się pomiędzy faworytów.

Te poczuwszy

obcego, obkoczyły go i zaczęły swoje wrzaski, lecz on zaopatrzony w byczek

potężny, wziął się do bolesnej operacji i którego tylko mógł
uchwycić, okładał
niemiłosiernie, wołając: a psi! a psi! Zbiwszy tak pieski, zabrał się do
kotów,
powtarzając im: a kici! a kici! Te wystraszone, bo nigdy ich w życiu
nie
podobnego nie spotkało, pochowały się, gdzie który mógł, a jeden z
nich w
panicznym strachu, podobno największy faworyt »Mru-

--

czek«, skoczył w komin i schował się w rurę, nie mogąc się zaś
stamtąd wydostać,
przez uduszenie żywota dokonał.

Rezydent ostrożnie tą samą drogą dostał się szczęśliwie do domu i
wchodził

właśnie na dworskie podwórze, kiedy służba wazy na stół pański
wnosiła. Wemknął
się więc w ciżbę innych rezydentów i zarumieniony tylko nieco od
pośpiesznego
powrotu, do obiadu usiadł.

Matka moja po kawie zwykle odjeżdżała do siebie; sprawca tego
bolesnego dla
faworytów figla zadrzał trochę, gdy JW. pani do karocy siadała,
uspokajał się
jednak tern, że nikt w owej wyprawie współudziału nie brał, tajemnica
przeto na
zawsze pogrzebaną zostanie.

Stęskniona kilkogodzinnem niewidzeniem swych ulubieńców matka,
gdy powracała,
witała ich zwykle i pieściła tem więcej, że i one też cieszyły się z
przybycia
pani, gdyż obok karesów dostawały jakieś przy-smaczki i jak skoro
tylko kareta
zajeżdżała przed dom, wskakiwały jedne przed drugimi na okna i
szczękaniem a

skomleniem objawiały swą radość. Dziś jednak cisza panowała jak w grobie; matkę wchodzącą do pokoju zastanowiło to trochę, lecz sądziła zrazu, że faworyty nakarmione dobrze w błogim śnie spoczywają — a był właśnie upał nieznośny i jakoś się miało na deszcz — dopiero wszedłszy do głównej ich kwatery, zawołała: Mimi, Zola, Tinetka, Ami, Caro, pieski kochane cóż to, nie przywitacie swej pani? A na koty: Mruczek, Burek, kici, kici... lecz zrobił się rej wach,

wszystkie zamiast do swej pani, wlatywały pod łóżka, sofy i chroniły się gdzie mogły.

— Co to jest? — zawołała matka z gniewem do służącej, która odbierała od niej kapelusz.

— Kto tu był?

— Nikt, proszę łaski pani.

— Daj mi tu Zolę na kolana.

Ale po Żolę trzeba było wieść pod łóżko i silnie opierającą się prawie gwałtem wyciągnąć. Była to faworyta z gatunku, które się do połowy strzygą,

tłusta i opasła, więc tem więcej odznaczały się na niej pręgi sine jak kiełbasy.

Skomląc i drżąc cała tuliła się do swojej pani, a matka moja domyśliwszy się

całej ohydy zbrodniczego czynu, w pierwszej chwili uniesienia chciała wypędzić

cały fraucymer za niedozór nad jej ulubieńcami, posądzając o jakąś szkaradną

zemstę; następnie jednak umitygowawszy się nieco, z płaczem prawie spazmatycznym

zabrała się sama do opatrywania piesków, na których razy były
wyraźniejsze. Z
kotami była trudniejsza sprawa, bo te po otwarciu drzwi
wystraszone uciekły i
wcale się przez parę dni zwabić nie dały; Mruczka zaś
najulubieńszego ani widać
nie było. Odchorowawszy tę przygodę, matka moja napisała gorzki
list z wyrzutami
do męża posądzając go, że do tej przykrości jej wyrządzonej on był
główną
sprężyną. W parę dni wybrał się kasztelan z wizytą do żony, by się
usprawiedliwić, ale ta kazała go przeprosić, że z powodu choroby
przyjąć nie
może i przez trzy miesiące na obiadach nie bywała, tylko czasami na
krótkie
przyjeżdżała odwiedziny.

--

Pod jesień, kiedy chłodne powietrze zmusiło już do podpalenia w
piecu, przy
odsuwaniu blachy spadł biedny Mruczek, potoczywszy się na pokój,
odczepiony od
rury, oblażył z sierści, niepodobny do ulubieńca swej pani, co jeszcze
odnowiło
już przebolałą trochę katastrofę. Z przygody tej, jak i ze śmierci
borsusia,
tworzono różne domysły, ale nikt prawdziwych sprawców nie odgadł.
Trzy lata ubiegło z mego młodocianego życia w domu rodzicielskim;
przez ten
czas zmieniło się przy nas kilku nauczycieli; każdy z nich, chociaż z
mozołem,
zawsze coś w mojej głowinie złożył swem staraniem. Miałem już lat
dziesięć, była
to epoka, w której paniczne odwożeni byli do szkół; ale na dwa
miesiące przed tym

terminem zaszedł jeden epizod z mego życia, który opowiedzieć muszę.

Siostra moja przyrodnia wychodziła za mąż ¹⁾, ślub z wielką okazałością miał się odbywać wkrótce. Ja, jak to wspomniałem wyżej, dodzierałem już dość podniszczone po starszych przede mną braciach suknie, w nich więc na taką uroczystość wystąpić było trudno. Zwierzyłem się więc z tym strapieniem memu protektorowi, Szczepanowi, całując go w rękę.
— No, no, pomówię ja o tym z jaśnie panem jutro rano — odrzekł Szczepan.

Nazajutrz rozstrzygnąć się miały moje losy; marzyłem prawie przez całą noc o nowem ubraniu, bo

) Józefa, urodzona ze Zboińskiej, wyszła za Maksymiliana Celińskiego, radcę departamentu kaliskiego. P. Wyd.

wiedziałem, jakie zachowanie miał Szczepan u mojego ojca. Wstałem więc raniej niż zwykle i pod jakimś pozorem dostałem się do kredensu, aby obecnością moją przypomnieć Szczepanowi jego obietnicę. Właśnie dzwonek odezwał się w sypialni ojca, było to wezwanie Szczepana; pośpieszył on zaraz, a ja na palcach wemknąłem się cicho do przyległego pokoju i z bijącym sercem podsłuchiwałem ojca mojego ze Szczepanem rozmowę. Po wejściu do sypialni Szczepan naprzód odemknął

okiennice, ojciec zaś z głębi alkowy, w której łoże jego było umieszczone, zapytał:

— A co tam słychać na dworze, Szczepanku.

— Śliczna pogoda, JW. panie, powietrze czyste po wczorajszym upale, bo deszczyk

trochę w nocy porosił, a to na siewy dobre jak złoto, bo było trochę za sucho,

będzie teraz prędzej wschodzić — odpowiedział Szczepan.

— A cóż tam roboty macie jeszcze dużo? czy wszystko przygotowane na wesele panny

Józefy? — zapytał znowu ojciec.

— Wszystko to nie jeszcze, JW. panie, ale się to przecież zrobi, toć to jeszcze

dwa tygodnie blisko.

— Tak, ale się zawsze trzeba pośpieszyć, bo goście zaczną się wcześniej

zjeżdżać; już to na twojej głowie wszystko, mój Szczepanku, nie żałuj niczego,

niech wszystko będzie dobrze, wszak to wesele mojej pierwszej córki),

wynagrodzę ci to.

) Młodsze córki, urodzone z Dąbskiej, żyjące na ten czas, w młodości pomarły.

--

— E! J W. panie, przecież to mój obowiązek, a zresztą i jabym też nie chciał się zawstydzić.

— A czy nie wiesz, jak tam daleko z siewami? — zapytał znów mój ojciec.

— Pewnie już na połowie, tak mi przynajmniej mówił wczoraj dyspozytor; przed

weselem pewnie skończą. Ale najgorzej JW. panie, że pan Wincenty nie ma porządnego ubrania, a tu trzeba, żeby i panicze przecie jakoś porządnie wystąpili; ci starsi to jeszcze mają niezłe. Ach, przyłożyłem wtenczas ucho szczelnie do szpary we drzwiach. — Hm — mruknął ojciec — nie ma, mówisz? A to mu trzeba sprawić; może będziesz w tych dniach w mieście, to kup sukna i każ mu zrobić. — A właśnie jutro wybieram się JW. panie, to i krawca zamówię. Ja nie czekając już końca dalszej rozmowy ojca ze Szczepanem, wysunąłem się cichaczem z pokoju i w podskokach niewypowiedzianej radości pobiegłem do oficyny, nie chcąc przez długą moją nieobecność ściągnąć na siebie gniewu pana dyrektora. Jakoś mi się to szczęśliwie upiekło, że nowy nasz tyran nie zwrócił na mnie uwagi, ale bracia moi dostrzegli na mej twarzy oznaki niezwyklej radości. Po lekcji gdy pan dyrektor opuścił szkołę naszą, co czynił zwykle przed obiadem, aby się wemknąć bokiem do szafarki, u której był w łaskach, na wódeczkę, ile że w takowej bardzo się lubował, o czym świadczył jego nos nieco zaczerwieniony — bracia obstąpili mnie i zaczęli

wypytywać, co się stało? Ale ja nie chcąc się przedwcześnie wydać z moim planem, odpowiedziałem tylko: »zobaczycie, zobaczycie, co to będzie!« — czem jeszcze w tem większą wprawiałem ich ciekawość. Na drugi dzień niespokojny wyczekiwałem niecierpliwie chwili, kiedy mój

protektor wyjeżdżać będzie do miasta i dostrzegłszy go kroczącego ku bramie, a

przystrojonego odświętnie podbiegłem i całując go w rękę, wyrzekłem nieśmiało:

— Ja i butów porządnych nie mam.

Szczepan spojrział mi na nogi i dostrzegłszy, że palec z jednego buta ciekawie

wygląda, machnął tylko ręką i posunął się do bryczki stojącej za bramą.

Nazajutrz z rana w sieni naszej oficyny posłyszałem szwargot żydowski. Z

miasteczka, do którego Szczepan jeździł, przyszedł Żyd krawiec z dwoma młodymi

swymi krawczykami, sławny w okolicy nadworny majster kunsztu krawieckiego

»Pajakiem« zwany. O nim to właśnie wspomina ś. p. Fryderyk hr. Skarbek w znanej

może czytelnikom anegdocie p. t. »Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija spuści«. Był

to zabawny typ dziś nieistniejący Żyda wiejskiego krawca, wędrującego za robotą

od dworu do dworu, a powracającego w piątek przed szabasem do domu. Właśnie

zdzążając raz zimową porą przez las, bo się trochę spóźnił, do miasteczka na

szabas, spostrzegł na drodze zbliżającego się ku sobie wilka, przyczał się więc

za drzewem i łokciem, jako swem godłem, mierzył do drapieżnika; wtem z drugiej

strony drogi padł strzał i wilk się przewrócił; myśliwy zacząjony, bo właśnie

odby-

wało się polowanie, podbiega do zabitego wilka, ale równocześnie przyskakuje i

Pająk, krzyząc:

— To ja zabił, to moja skóra.

— Jakiś ty głupi — mówi strzelec — przecież ja strzeliłem, z czegoż ty mogłeś zabić?

A on woła wskazując na swój łokieć:

— Nu, jak Pan Bóg dopuści, to i z kija spuści.

Ta dowcipna odpowiedź zmieniła się potem u ludu w przysłowie, które, jak wyżej wspomniałem, szanowny Fryderyk hr. Skarbek

umieścił w swoich powiastkach.

Lecz powracam do dalszego ciągu mego opowiadania.

Domyśliwszy się, w jakim celu przybył Pająk, chciałem się w tej chwili wyrwać

i pobiedz do niego, aby sobie jego względy zaskarbić ; lecz spojrzawszy na pana

dyrektora i dostrzegłszy jego groźne wejrzenie na mój niezwykły ruch,

wstrzymałem się, czekając cierpliwie na zwykłą wycieczkę naszego tyrana do

szafarki, Gdy ten niecierpliwie oczekiwany moment nastąpił,

pobiegłem do sieni i

otworzywszy drzwi przeciwległe naszej szkole, znalazłem Pajaka i jego

pomocników, zajętych przygotowaniem do mającego rozpocząć się dzieła. Stempowano

właśnie sukno, która to manipulacya odbywała się w sposób następny.

Stary Pająk

brał z największą powagą wodę w usta ze stojącej na stole kwarty, nadymał je i

strumień drobnych perełek wydmuchiwał na trzymane przez chłopców sukno, a był

widać mistrzem w tego rodzaju czynności. Ja cierpliwie czekałem na koniec owej

operacyi,

—

choć byłem parę razy obryzgany; dopiero kiedy Pająk zabrał się do obwijania sukna na stole w przygotowane na to płótno, zbliżyłem się, aby popatrzeć na mój skarb.

— Czy to dla panicza mam robić ubranie? — spytał stary.

— Tak — odpowiedziałem z dumą.

— Będzie fajnie, co to za towar! aj waj! ja to sam dla panicza wybierałem u

Herszka, po pięć złotych łokieć !

I uśmiechając się, coś zaszwarzotał do swoich krawczyków.

Było to szaraczkowe sukno, dość grube, ale mnie się wydało prześliczne.

— Ny, a z miarą jak będzie, bo trzeba kroić niedługo?

Wtem otworzyły "się drzwi i wszedł Szczepan, niosąc coś w papierze zawiniętego; były to przybory do mego ubrania: kitaj, nici, guziki rogowe i płótno.

— No dobrze, że tu panicz jesteś — ozwał się — weź majster miarę, a zrobić

obszernie i na wyrost, żeby było dobrze.

— Będzie fajnie, panie Szczepanie.

— A powinny przecie kawałki zostać, to oddaj majster, bo to się zda na naprawkę.

— No, przecie Pająk, uchowaj Boże, nie kradnie.

Stanąłem tedy na środku izby, która była przeznaczona zwykle na pracownię dla

krawców i t. p. majstrów i odbyła się ceremonia miary marzonego

—

przeze mnie ubrania, po skończeniu której Żyd mi się grzecznie i z powagą

ukłonił, mówiąc:

— Schon gemacht.

Odtąd często wpadałem na drugą stronę do krawców, śledząc z największą uwagą i niecierpliwością postęp roboty. Raz, pamiętam, nadzwyczaj byłem zdziwiony kunsztem mego krawca, którego za mistrza poczytałem, gdy tenże pracował nad kołnierzem i dla nadania mu sztywności smarował go surowymi rzadkimi kartoflami, a następnie gorącym żelazem pociągał, co wydawało zapach bardzo przyjemnie mój zmysł powonienia drażniący.

Przez cztery czy pięć dni chodziłem do Pajaka, niecierpliwie oczekując ukończenia i znosząc krawcom co najpiękniejszy owoc, jaki mogłem zdobyć w ogrodzie, oraz ulubiony specyał mego majstra: cebulę i czosnek, lecz że się znalazła jeszcze i inna robota przy licznej służbie we. dworze, zwłaszcza przed taką uroczystością, jak wesele mojej siostry, więc dopiero coś szóstego dnia z rana wywołał mnie Szczepan ze szkoły i odbyła się ceremonia przymierzenia już na dobre wykończonego kompletu, składającego się z rodzaju fraka, spodni i potężnej kamizelki, zakrywającej brzuch cały, które, zdaniem Pajaka, wszystko leżało jak » ulane «. Rzeczy te wziął pod opiekę swoją Szczepan, a ja uszczęśliwiony, pobiegłem do szkoły. Zaczęły się parę dni potem przygotowania do wesela, ruch więc i bieganina przed dworem i na obszernym dziedzińcu zajmowały nas bardzo. Przenoszono meble, trzepano kobierce, przybijano ponad głównym wejściem jakieś

girlandy, plecione z liści, umieszczano kagańce przed bramą wjazdową. Starowina
Szczepan uwijał się żwawo w tym niezwykłym ruchu i jak wódz z dumą dowodził całą służbą, wydając polecenia; a że spodziewano się wielu osób z dalszych okolic, przygotowywano więc dla nich stosowne pomieszczenia. Nas tedy ze szkoły wyniesiono, przeznaczając ją dla gości, nawet pokój, służący za pracownię dla Pająka,-po wywietrzeniu i wy-kadzeniu bursztynem, aby woń cebuli i czosnku po Żydach pozostała nieco zubożać, na gościnny zamieniono. Pana guwenera i paniczów ulokowano na folwarku w ciasnej izdebce; ja tylko, z łaski mego protektora Szczepana, aby mi było dogodniej, pomieszczony zostałem razem z bratem moim Stanisławem, starszym o kilkanaście lat ode mnie, który już był oficerem), a przybyłem za urlopem na ślub mojej siostry). Ulokowani zostaliśmy w bibliotece, mieszczącej się w pawilonie, którą ojciec mój jako posiadającą już drogocenne pamiątki i liczny zbiór dzieł, eon amore utrzymywał, tytułem biblioteki rodzinnej mianował, a w testamencie swoim funduszem stałym na wieczne czasy uposażył. Otóż pomieszczenie mnie tam z bratem moim miało tę jedną niedogodność, że było do biblioteki jedno tylko wejście z głównej sali. Pamiętam, że widok mego brata w mundurze wojskowym zachwycał mnie niezmiernie, był to bowiem piękny mundur kawaleryi naszego wojska, a przybory, jak pałasz, pistolety, szlify,

-
-) W dziewiątym pułku ułanów W. Księstwa Warszawskiego.
 -) Wyszła za Maksymiliana Celińskiego.
- _____

kaszkiet, wyłogi i ostrogi w podziw mnie wprawiały. Brata tego poznałem wówczas i pierwszy raz w życiu go widziałem, a że był serdecznym i ja mu jakoś przypadłem do serca, polubił mnie i pokochał odrazu, bo nadskocznością moją starałem mu się przypodobać.

Bracia moi zazdrościli mi mego szczęścia i często jak mogli wmykali się do tymczasowej naszej kwatery, aby oglądać choć zdaleka cuda, o jakich im opowiadałem.

Tymczasem w wilię ślubu zaczęli się już od samego rana zjeżdżać z dalszych stron goście;

gwar i ruch był nie do opisania, wszystko to mnie jako nowość zajmowało, tak, że o głównym

celu mych marzeń, to jest o stroju, w jakim miałem wystąpić, zapomniałem na chwilę,

dopiero poczciwy Szczepan przypomniał mi go, przynosząc w zawinięciu - cały mój komplet.

Ale o dziwo! jakże byłem zdumiony, gdy wydobywając ubranie, zobaczyłem jeszcze i buty

nowe, z dość długimi cholewami, obszytymi u góry paskiem żółtego safianu, a jak się

dowiedziałem, kupione na jarmarku. Przyszła mi zaraz myśl, że one przedstawiać będą

wybornie węgierskie sztylpy, na ów czas będące w modzie, postanowiłem więc, jak się będę

ubierać, umieścić spodnie w te piękne podług mnie cholewy, a do kompletu całego mego

ubrania uprosiłem Szczepana, że mi pożyczył swego tombakowego ogromnego zegarka z

dość grubą stalową dewizką, zaopatrzoną w potężny kluczyk i bomby
krwawnikowe, którego
używał na dni powszednie, bo na święta i uroczystości nosił zwykle
srebrną cebulę z takimże
do niej łańcuchem.
Zdawało mi się tedy, że mi nic już do mego

kompletnego stroju nie brakuje. Zabrałem się jeszcze do lepszego
wyczyszczenia moich
butów, które doprowadziłem do zadziwiającego połysku. Cały ten mój
przybór umieściłem w
kąciku i zadowolony przepędziłem czas do wieczora na wesołej
zabawie z braćmi, bośmy się
przy tym rejwachu wcale nie uczyli.

Nazajutrz, w dzień ślubu mojej siostry, brat Stanisław, ubrawszy się
wcześniej, wyszedł, by
pomagać rodzicom bawić i przyjmować przybywających gości. Ja
zamknąwszy się w
bibliotece siedziałem, wyczekując najstosowniejszej chwili, aby się w
moim stroju pokazać,
marząc jakie zadziwiające wrażenie na zgromadzonych gościach
uczynię. Gwar na sali
zwiększać się zaczął, ja przez dziurkę od klucza obserwowałem
wszystko i gdy uznałem, że
już czas nadszedł najstosowniejszy, zacząłem się ubierać.
Przystrojony, przecesałem jeszcze
włosy, przejrzałem się jeszcze w lustrze i zadowolony, z rozjaśnioną
twarzą, przekręciłem z
cicha klucz w zamku, ale gdym chciał otworzyć drzwi, aby wejść na
salę, brat Stanisław
mając jakiś interes do swej kwatery i spostrzegłszy tak przystrojonego
cudacznie, zawołał:

— A cóż to za małpa!

I poznawszy mnie rzecze:

— Coś ty zrobił z sobą? a to czysty arlekin! Zrzuć mi to zaraz z siebie!

Zaczął też ze mnie prawie zdzierać moje ubranie. Ja zdziwiony, patrzyłem tylko osłupiałym wzrokiem na niego, nic nie mówiąc i nie pojmując, dlaczego mój strój mógł mu się tak nie podobać. Stałem na środku

--

pokoju jak słup, nie wiedząc, co z tego dalej będzie. On z pośpiechem zaczął bezładnie wyrzucać rzeczy ze swego podróżnego kufra i dobrawszy jakieś swoje cywilne ubranie, kazał mi się w takowe ubierać. Chociaż był on niebardzo wysokiego wzrostu i szczupły, ubranie jego wyglądało jednak na mnie bufiasto, a był to rodzaj taratunki, której brat mój snąć używał po za służbą wojskową w kwaterze, spodnie lubo podciągnięte i ujęte szelkami w górę, strasznie mi dokuczały. Tak tedy przystrojonego wprowadził mnie za sobą na salę pomiędzy gości, ale ja onieśmielony tą moją katastrofą, długo humoru odzyskać nie mogłem.

Uroczystość wesela mojej siostry odbywała się dni parę, poczem goście zaczęli się rozjeżdżać, tylko krewni i familia pana młodego przedłużali swą bytność, wstrzymywani z dnia na dzień staropolską gościnnością, jaką się przodkowie nasi odznaczali. Ale i ci nareszcie opuścili dom rodziców naszych i kiedy państwo młodzi odjechali, nastąpił zwykły tryb codziennego życia i wszystko wróciło do dawnego porządku.

We dworze zaczęto jakoś mówić, a ta wieść i do nas zaraz się dostała,
że
panicze niedługo mają być odwiezieni do szkół. Pan dyrektor tern
gorliwiej do
nas się zabrał, aby przygotować lepiej swych pupilów i zyskać nadal
względy
naszego ojca, by go zatrzymał przy młodszym braciach, którzy
pozostać mieli w
domu. Do zabawy mniej teraz mieliśmy, czasu, ale jak tylko zdarzyła
się do tego
stosowna chwila, wysuwaliśmy się do ulubionego szpaleru, który
najlepiej
zakrywał

nasze figle i sprawy. Tam w największym gąszczu wykopaliśmy
sobie rodzaj jamy,
która, się zakrywała darnią, gdzie mieliśmy skład przeróżnych
przedmiotów,
służących do zabawy, a z którymi ukrywaliśmy się przed naszym
dyrektorem.
Stróżem i powiernikiem tych skarbów był przyjaciel nasz od serca,
ogrodniczek
Piotruś. On dzielił z nami nasze zabawy, a wywdzięczając się nam za
to, znosił
do owego magazynu najlepszy jaki mógł tylko zdobyć w ogrodzie
owoc, marchew, mak
w główkach, pędy cebulowe, z których gdyśmy się niemi dowoli
nasycili, robiliśmy
dudki i t. p. specjały, stanowiące dla nas ucztę nieraz wyborną,
wypełniającą
nasze młode, spragnione zawsze żołądki. Pamiętam, że wśród
zamieszania, jakie
panowało podczas przygotowań weselnych naszej siostry, jeden z
braci moich

znalazł na podwórzu dworskiem klucz dosyć duży, jak się zdaje od zamku sieni frontowej, z dziurą na parę cali długą i zaniósł go do naszego składu. Klucz ten jakby naumyślnie nadawał się doskonale na pistolet, a że brat Piotrusia był kowalczykiem, więc poleciliśmy mu, aby pod największym sekretem w pośrodku, tam gdzie się kończyła dziura, wybił nam otwór. Jeden z braci zdobył gdzieś prochu, więc zabraliśmy się, podczas naszej raz tam wycieczki, do nabicia naszego zaimprovizowanego pistoletu. Chodziło tylko o to, że chcąc wystrzelić, trzeba było zapaloną hubkę przyłożyć do wybitej wpośrodku dziurki, którą podsypaliśmy prochem. Piotruś w postawie dumnej wziął nabity klucz w wyciągniętą prawą rękę, a brat mój, wsadziwszy kawał hubki w otwór, zatlił ją roz-

--

zarzonym węgielkiem). My odstąpiwszy nieco na bok, przypatrywaliśmy się z bijącym sercem słupkowi dymu, kurzącemu się z hubki. Wtem rozległ się huk, Piotruś biedny upadł na ziemię, a my w panicznym strachu uciekliśmy, chroniąc się w najgęstsze zarośla. Posiedziawszy tak z jaki kwadrans, poparzony nielitościwie, bom się dostał w gęste pokrzywy, odważyłem się nareszcie wytknąć głowę i patrzeć. O dziwo! Piotruś przemknął mi się ścieżką ogrodową, zacząłem mu się przyglądać pilniej i przekonawszy się, że to nie duch jego, lecz on sam we

własnej osobie, tylko biedny z zakrwawioną twarzą, wyszedłem ostrożnie z mojej kryjówki, cichem psykaniem zwołałem braci i zapewniłem ich, że Piotruś żyje. Na wspólnej naradzie stanęło, żeby Piotrusia zwabić i wypytać się go o wszystko. Nastąpiło wkrótce porozumienie. Piotruś, dostrzegłszy nas, przyszedł, ale biedaczysko z pomazaną całą twarzą od krwi, która mu się z rany na nosie, jaką odebrał, sączyła. Obmyliśmy mu twarz wodą, znoszoną z rowu daszkami czapek naszych, a ranę, która nie była wcale głęboką, oblepiliśmy liśćmi. Pokazało się, że tu przestrach więcej na niego działał, bo klucz furknął gdzieś

) W owym czasie nie było tak wydoskonalonych zapalek, jak obecnie; w pokojach kobiecych używano tak zwanych siarniczek, to jest strzyżonych w rożek papierków, maczanych w roztopionej siarce, które wieszano nadziane na sznurek na gwoździu, w blaszanem zaś pudełku był upalony pulwer (z płótna), krzeszło się ogień, a od iskry rozniecał się proszek, od niego zaś siarniczka. W kuchni natomiast był utrzymywany ciągły ogień na kotlinie, ogarnięty kupką popiołu. Do fajek używano krzesiwa, skałki i hubki, a czasem szkła palącego, gdy słońce jasno świeciło.

--

na stronę tak szczęśliwie, że nie zrządził smutniejszego następstwa, tylko jakiś drobny odłamek dostał się biednemu Piotrusiowi.

Nareszcie zbliżył się termin naszego wyjazdu do szkół; w wigilię wyprawy zawezwani zostaliśmy w niezwyklej porze przed oblicza naszych rodziców; domyślaliśmy się, że nas czeka jakaś niespodzianka. Ustawwszy się przeto w zwykłym ordynku przy drzwiach, oczekiwaliśmy przybycia rodziców; po niedługim czasie wszedł ojciec i matka z posepnemi twarzami, z których nie wróżyliśmy sobie nic pomyślnego. Po ucałowaniu obojga z największem uszanowaniem, ojciec odezwał się do nas:
— Wiecie zapewne, że jutro bardzo rano odjedziecie do szkół, jest to pierwszy krok w waszym życiu, gdzie po za domem uczyć się będziecie, obowiązkiem przeto waszym jest, abyście się starali pilnością i dobrem sprawowaniem się nagrodzić rodzicom waszym ich opiekę nad .wami i żeby niedaremnyimi były koszta, które na was łożyć będę. Spodziewam się — dodał — że postępowaniem waszem nie będziecie nas martwić.
— A szczególnie pan Wincenty, który już nieraz spłatał figła — odezwała się matka i pogroziła mi palcem na nosie.
— Wszystko już do podróży waszej przygotowane — mówił dalej ojciec — i żebyście pamiętali wasz pierwszy odjazd z domu rodziców, oto macie.
I wsunął każdemu z nas coś owiniętego w paperek.

— —

— A teraz idźcie do oficyny, po kolacyi zaraz wcześniej udajcie się na spoczynek i jutro o czwartej z rana jedźcie w Imię Boże.

Tu zaczął nam się ojciec przypatrywać przez szkła; my wtenczas
przypadłszy do
kolan obojga rodziców i po ucałowaniu ich rąk, wyszliśmy z pokoju.
W sieni zaczęliśmy odwijać papierki, któreśmy mocno w pięściach
naszych
poprzednio ściskali i zdumieni byliśmy, zobaczywszy ruloniki
trzygroszniaków,
których każdy posiadał dwadzieścia; było więc razem po dwa złote,
skarb, jakiego
w życiu żaden z nas nie posiadał. W podskokach więc największej
radości
dobiegliśmy do oficyny, gdzie profesor nasz, w towarzystwie
rezydenta, którego
już poprzednio mieliśmy przez czas jakiś dozorcą, składali nasze
książki i ka-
jeta, wiążąc je sznurkami. Ten ostatni ozwał się do nas:
— No, panicze, jutro z wami jadę do Pakości. Pamiętajcie rano wstać,
żebyście
byli gotowi, skoro brzask, a jak zakomenderuję: »marsz w drogę«, to
siadać
trzeba, bo musimy tego dnia być wcześniej na miejscu. Możecie sobie
jeszcze teraz
pobiegać, kolację wcześniej zjecie, a potem spać.
Nam nic pilniejszego nie było, jak wylecieć pędem do ogrodu, aby się
jeszcze z
Piotrusiem nacieszyć i pochwalić przed nim naszymi skarbami.

II.

Szkoły.

O mil blisko siedm od majątku ojca mojego leżało miasto Pakość w
W. Księstwie
Poznańskim, w okolicy Pałukami zwanej. Była to miejscina w owych
czasach bardzo
licho zabudowana, po większej części drewnianymi, małymi
domkami, zamieszkanymi

przez mieszczan. Oprócz kilku rzemieślników, jak krawców, szewców i dwóch piekarzy, reszta trudniła się głównie rolnictwem. Dominował tylko na całe miasto wspaniałością swoją klasztor XX. Reformatów, zajmujących się uczeniem młodzieży, której tam podówczas była dość pokaźna liczba, bo około czterystu. Szkoła ta w owej epoce używała dosyć sławy, uczyli się w niej synowie możniejszej i uboższej szlachty. W miasteczku więc, które liczyło zaledwie mieszkańców, uczniowie liczbą swą znacznie zwiększali ruch miejscowy i byli niejako celem zabiegów tamecznych mieszkańców, którzy po kilku, a zamożniejsi i po kilkunastu

uczniów trzymali na stancyi. Siostra cioteczna rezydenta ojca mojego mieszkała w Pakości, z nią ojciec umówiwszy się listownie, bratu jej odwiezienie i umieszczenie nas u niej na stancyi polecił. Nazajutrz o wschodzie słońca brodzką bryką, zaprzężoną w cztery konie, wyładowaną prowiantami i naszymi rzeczami, wyruszyliśmy w podróż. Była to dla nas nowość nieznaną, więc z rozjaśnionemi twarzami, bez zasmucenia opuszczaliśmy dom rodzicielski. Jedyne może zachmurzeniem dnia tego było, że gdyśmy już mijali narożnik naszego ogrodu, ujrzyliśmy tam biednego naszego towarzysza Piotrusia z zasmuconą twarzą, żegnającego swych kochanych paniczów, ale jeszcze z niezgojoną szramą na nosie, w ostatniej katastrofie zdobytej.

Nie będę tu opowiadał wrażeń naszej podróży, która nam z wesołym towarzyszem przyjemnie bardzo zleciała; o zachodzie słońca ujrzelśmy już Pakość. Widok nie był bardzo wspaniały, bo miejscina niezabrukowana, w okolicy piaszczystej nędznie się przedstawiała; klasztor tylko zwrócił naszą całą uwagę i instynktownym dreszczem nas przejął. Jednakże obecność przyszłych naszych kolegów, zgromadzonych około domu, gdzieśmy się zatrzymali, wnet rozproszyła chwilową trwogę i myśli nasze zwróciła w inną stronę. Nastąpiły zapoznania się, zrazu nieśmiałe, później już i trochę hałaśliwe, bo z nami trzema przybyłymi liczba nas urosła do dziewięciu. Pani, na teraz już wdowa, która nas w swój domek zaprosiła, była to sobie dość miłego oblicza i obejścia kobieta, około lat pięćdzie-

--

sięciu mająca, snać uprzedzona listem, że dziś przyjedziemy, czekała na nas z wieczerzą, którą z apetytem i wesoło spałaszowaliśmy po podróży, w gronie naszych nowych towarzyszków. Przybyliśmy, pamiętam, w sobotę; na drugi dzień, że było święto, poszliśmy osobno jako nieliczący się jeszcze do grona uczniów z naszym opiekunem do kościoła, aby po nabożeństwie przedstawić się gwardyanowi, poczem powróciliśmy do domu i przy dniu wolnym od nauk zabawialiśmy się z całą swobodą.

Księża, jako profesorowie nasi, mieli obowiązek wieczorami przechadzać się po mieście i stając pod oknami, uważać na uczniów, co robią i jakim językiem między sobą mówią. Obowiązkiem bowiem było mówić po łacinie; stąd w całym mieście, począwszy od kucharek, a skończywszy na szewcu, wyuczyli się mówić tak zwaną kuchenną łaciną, aby być zrozumianymi przez uczniów, którzy umyślnie się do nich tylko w tym języku odzywali, tak, że cała Pakość była jakby kolonią rzymską.

Gdyśmy rozochoceni bawili się w ślepią babkę, zapomniawszy o Bożym świecie, a ja miałem zawiązane oczy, otworzyły się drzwi i wszedł ksiądz; ja sądząc, że to który z uczniów, łap go i krzyczę: »mam cię, mam!« i zdzieram chustkę z oczu.

Wtem któryś z kolegów kładnie na mnie jakiś znak, a była to tak zwana nota lingua, język wykrojony z czerwonego sukna, zawieszony na sznurku. Ksiądz nakazawszy spokojność i udanie się na spoczynek w języku dla mnie jeszcze dobrze niezrozumiałym, wyszedł, a ja jak pies ze znakiem od oprawcy, stałem na środku

--

w ciszy, jaka zapanowała, nie pojmując, co się ze mną stało; dopiero cichym szeptem wytłomaczono mi wszystko, ale pełen otuchy nie rozbeczałem się jakoś. Na drugi dzień o wpół do ósmej rano poszliśmy do szkoły; dwóch starszych braci po odbytem przeegzaminowaniu nas przez gwardyana dnia poprzedniego, przeznaczeni

byli do drugiej, ja zaś do pierwszej klasy; po mszy studenckiej udaliśmy się w ordynku do szkoły. Widok tylu naraz towarzyszków, gwar i hałas zajmowały mnie bardzo, wtem wszedł ksiądz profesor i cisza zapanowała jak w grobie. Siedzący z brzegów ławek uczniowie pozanosili jakieś książeczki przed profesora i ten z nich z nazwiska i imienia wywoływał uczniów, którzy występowali na środek; wniesiono ławkę i poczęła się operacja bicia w skórę; ksiądz batem, który z rękawa rewerendy dobył, wymierzał razy. Ale gdy postyszałem i moje nazwisko wymienione, struchlałem cały, nie ruszałem się z miejsca, lecz mnie dostawiono przed ławkę, i za to, że u mnie znajdowało się to nieszczęśliwe signum (nota lingua), dostałem pięć potężnych batów. Tak tedy wstęp mój na pierwszej lekcji szkolnej rozpoczął się plagami, ale że widziałem tylu towarzyszków mojej niedoli podległych temu samemu co i ja losowi, zapomniałem jakoś o doznanym bólu. Całą godzinę odbywały się podobne operacje, na następnej godzinie to samo; jednym słowem pokazało się później, że księża mało co uczyli, tylko bili a bili. Profesor zadawał jedynie w książeczce lekcję, a starszy w ławce uczeń, audytorem zwany, przesłuchiwał; komu zapisał w książeczce scit, to dobrze, komu zaś nescit,

ten bezwarunkowo brał baty. Czasem dało się przejednać pana audytora bułką, szlązakiem), lub t. p., lecz ja mając niezły apetyt sam wolałem spożyć te specjały, a że najwięcej trafiało mi się mieć nescit, więc z batami dosyć wcześnie się otrząsałem i starałem się tylko jak najwcześniej sam się na ławce położyć, aby później mieć prawo obciągać drugim koperty. Tak upływał mi czas szkolny, a małoco do głowy przybywało, zato w figlach doskonaliłem się coraz więcej. Raz, pamiętam, w końcu maja, kiedy liście najbujniej są rozwinięte, a ptaki pielęgnują już swoje pisklęta, w każdym gnieździe, o którym wiedziałem, śledziłem pilnie wzrost żyjących tam ptasząt. Wokoło kościoła na cmentarzu były wysokie lipy i kasztany; w dziupli jednej, a było to w sobotę, dzień rekreacji, wiedząc o gnieździe lelaka wybrałem się, by te niebożątka odwiedzić ; wlałem na drzewo i zajęty czynnie swoją robotą, posłyszałem na dole jakieś mruczenie, spojrzę, z drugiej strony od zabudowań klasztornych szedł ksiądz kaznodzieja i przygotowywał się do jutrzejszego kazania. Ja wtenczas najostrożniej posunąłem się jeszcze wyżej na drzewo pomiędzy najgęstsze liście, aby nie być dostrzeżonym; profesor tymczasem chodząc wolnym krokiem tam i napowrót po cmentarzu wciąż wertował swoje kazanie. Siedziałem najspokojniej tak z godzinę, wyczekując sposobnej chwili do uwolnienia się z tego więzienia, lecz z nudów przy-

) W Toruniu, pewien gatunek ciastka z rodzynkami — patrz Linde
Vol. V, fol.
. P, Wyd.

szła mi myśl pusta zaintrygować księdza kaznodzieję i udając głos
kukułki,
zawołałem parę razy, kuku! Ksiądz zadziwiony, nie słysząc nigdy tak
w bliskości
kościoła tego ptaka, podniósł głowę do góry, ale nic nie dostrzegłszy,
zaczął
znowu swoją przechadzkę odbywać ; ja ucieszony, że go zwiódł tak
doskonale,
powtórzyłem po raz drugi moje, kuku ! Kaznodzieja znów spojrzał w
górze i
pomiarkowawszy figiel któregoś z uczni, wolnym krokiem poszedł ku
klasztorowi.
Poczekawszy jakąś chwilę, zsunąłem się ostrożnie z drzewa i
chyłkiem wydostałem
się przeciwną furtką cmentarza, kontent, że mi się tak wybornie udało.
Przez
resztę dnia i przez niedzielę byłem w najlepszym humorze ; w
poniedziałek jednak
na pierwszą lekcję wchodzi, jak na toż ksiądz kaznodzieja i po
modlitwie
odmówionej z nami, usiadłszy w katedrze jak najspokojniej, odezwał
się »kukułka
flectat «.
W klasie cisza się zrobiła, że możnaby muchę było usłyszeć, na mnie
skóra
zadrzała, ale przypuszczając, że mnie nie widział, nie wychodzę ;
powtarza więc
znów »kukułka flectat!« i jakoś spojrzał w moją Stronę, więc sądząc,
że czyta
całą prawdę na mojej zarumienionej twarzy wyszedłem jak niepyszny
na środek i

takich mi piętnaście batów wsypał, że ich chyba przez całe życie moje
nie
zapomnę.

Poza miastem znajdowały się figury w rodzaju kapliczek, w których
pomieszczone były
stacye męki Pana Jezusa ; jednej niedzieli z córką naszej gospodyni w
moim mniej więcej
wieku będącej, wybrałem się po obiedzie na zwiedzenie tych kaplic.
Spotkaliśmy tam

--

jednego z naszych profesorów — i za to, że z białogłową
spacerował, dostałem
dziesięć odlewanych batów.

W drugim roku mego pobytu w Pakości przysłali nam z domu przed
zimą nowe
buty; ja swoje dałem podkuć, raz żeby na dłużej wystarczyły,
powtóre, że w podkutych
butach lepiej się będzie ślizgać i rysunkami na lodzie zadziwiać
kolegów ; ale pukały niemiłosiernie, co mnie cieszyło, zwłaszcza idąc
po
korytarzach a zmrokiem po kamieniach z pod butów iskry się
pokazywały. Raz
wycinając takie szprynce z coraz większym zapalem nie dostrzegłem,
że ksiądz
lektor idąc za mną, długo mi się przypatrywał; na drugi dzień
odebrałem za tę
niewinną zabawkę pięć porządnych bizunów.

Nie skończyłbym tak łatwo wszystkich moich smutnych przygód
przez ciąg
dwuletniego pobytu w Pakości, gdzie dostałem z pewnością kilka
tysięcy batów od
tych dobrodziejów, którzy mi przez ten czas jednak mniej rozumu do
głowy,
aniżeli bizunów na skórę wsypali.

Przekonawszy się też o tem moi rodzice podczas wakacyi,
postanowili nas
stamtąd odebrać i przenieść do Torunia. Tam były już szkoły więcej
uorganizowane
na sposób wyższej nauki, język łaciński był przedmiotem ważnym, ale
nie
wykładowym, zastępował go niemiecki. Ja chociaż miałem dopiero lat
trzyznaście,
wystrzeliłem dosyć w górę, a że księża w Pakości Oprócz tak znacznej
ilości
batów, mało mię nauczyli, dostałem się przeto po dwuletnim tam
pobyć zalc-

—

dwie do drugiej klasy, pomiędzy malców, nad którymi wzrostem
dominowałem. Kiedym
pierwszy raz wszedł do klasy, powitany byłem chórem śmiechu i
wrzawy największej
przez moich towarzyszy malców, co mnie już ogromnie rozgniewało.
Najgorsi z nich
byli niemczaki, którzy wysuwając się naprzód, przedrzeźniali się nade
mną
najwięcej. Malec jakiś podsunął się do mnie blisko i zaczął
wykrzykiwać: »Co to
za dragal jakiś!« Ja nie namyślając się, jak go trzepnę w buzię, a miał
duże
wystające naprzód zęby, zalał się krwią i wpadł pod ławkę, ale
profesor wszedł i
zrobiło się cicho. Biedaczysko niemczak wypluł trzy zęby, które tak
na mnie
wyszczerał, a ja usiadłem w ławce jak najspokojniej. Odtąd
uwolniłem się nadal
moim bohaterskim czynem od dalszych szykan kolegów, a nawet
okazaną siłą i
odwagą zyskałem sobie poszanowanie ; już mnie nie zaczepiano
nigdy a później w

zabawie i sporach byłem przewodnikiem i sędzią całej klasy.

W lat czterdzieści może później, mieszkając w okolicy Torunia parę mil od

tego miasta odległej, byłem tam w jakimś interesie handlowym;

przechodząc ulicą

przeczytałem nad apteką nazwisko »Schwarc«, przyszło mi na myśl, czy to nie mój

kolega ? Wchodzę, za komptuarem stoi średnich lat mężczyzna,

któremu z po za

warg wyglądała próżnia w górnej szczęce ; odzywam się tedy do niego :

— Zapewne z panem Schwarcem, właścicielem tej apteki mam przyjemność mówić.

— Ja Herr Graf — bo poznał we mnie przybyłego z Polski obywatela.

—

— Wstąpiłem do pana — mówię mu, aby go przeprosić, bo to ja jestem ten, com panu

w szkołach te trzy zęby z przodu wybił, a które jak widzę dotąd nie odrosły.

— Och gnädiger Herr! — wykrzyknął Niemiec — bitte, das schadet nichts ! — I

śmiał się, ściskając mnie za ręce.

Zaczęliśmy sobie przypominać nasze szkolne figle wśród

przysłuchujących się

ciekawie młodszych subjektów i rozstaliśmy się w najlepszej

harmonii.

W Toruniu byliśmy na stancyi u jednego właściciela niewielkiego domku,

położonego w odleglejszej stronie miasta ; było nam tam dosyć dobrze, bo do tej

posessyi przytykał spory ogród, obfity w owoce, a zajmował się nim sam nasz

gospodarz z prawdziwym amatorstwem. Był on bardzo drażliwym na wszelkie nasze

tam zabawy i psoty, któreśmy mu nieraz wyrządzali ; mieliśmy
jednakże silnego
protektora w młodszym synu gospodarza naszego ; na niego tedy
spadały wszelkie
nasze winy, uczęszczał on z nami razem do szkół, a był dobrym
kolegą i brał
wszystko na siebie. Z nim robiliśmy różne wyprawy. Każdy kto był w
Toruniu
zauważyć musiał wspaniały ratusz w starym rynku stojący ; na jego
wysokiej wieży
gnieździło się tysiące wron i kawek, które nas zawsze przechodzących
koło
ratusza zajmowały i marzyliśmy tylko o tern, jakby się tam do nich
dostać a
podebrać z gniazd młode pisklęta, które stanowiłyby wyborną ucztę.
Poznajomiwszy
się z synem stróża ratuszowego, który był mistrzem w wyprawach na
młode wrony i
kawki, zmro-

kiem raz wybraliśmy się na ten połów. Po schodach przy pomocy
wykradzonego
klucza przez syna stróża ojcu swemu dostaliśmy się na wieżę, ale
stamtąd trzeba
było wdrapać się jeszcze wyżej, aby się dostać po gzemsie do gniazd.
Nie zbywało
mi na odwadze, więc podsadzony przez brata już miałem być u celu,
gdy wtem
obsuwa mi się noga, a ja schwyciwszy się rękoma gzemsu, zawisłem
w powietrzu.
Widziałem "niechybną śmierć przed sobą ; z wysiłkiem przeto
największym
trzymałem się rękoma ; wszyscy przestraszeni uciekli, tylko syn stróża
doświadczony w tym względzie, zawołał na mnie, abym się trzymał
ile mi sił

starczy a sam pobiegł po drabinkę na dół. Zawsze trwało to z kilka minut, ale się jakoś szczęśliwie udało, żem został uratowany, lecz odbiegła już nam ochota od podobnej wyprawy, a mnie przez parę tygodni ręce niemiłosiernie bolały. Ile razy potem przechodziłem koło ratusza, mierzyłem z dreszczem przestrzeń, jakąbym przeleciał spadając na dół — na goły bruk.

Starszy syn naszego gospodarza był w korpusie kadetów w Chełmnie, mieście o parę mil nad Wisłą położonem ; na święta Bożego Narodzenia kadet przyjechał do swoich rodziców. Zachwycony zostałem jego mundurem, starałem się do niego zaraz zbliżyć i wkrótce poprzyjaźniliśmy się bardzo. Jak mi zaczął opowiadać dziwy o swoim korpusie, że mają swoje karabiny, które złożone są w koszarach, że oprócz lekcyi odbywają jak wojsko musztry pod instrukcją prawdziwych oficerów, jeszcze jak mi pokazał z pomocą kija i jak dodał, że strzelają do tarczy tak jak zwykli żołnierze, byłem praw-

dziwie zachwycony ; dzień i noc marzyłem tylko o tem, abym tam mógł być pomieszczonym. Doczekawszy się jakoś szczęśliwie wakacyi — bo zapewne przez wzgląd na mój wysoki wzrost, przepchnięto mnie przecież do następnej klasy — ufny zatem w swoje powodzenie, umyśliłem użyć wszelkich możliwych wpływów na moich rodziców, aby mnie do Chełmna do korpusu kadetów przeniesiono.

Szczerliwie się jakoś zdarzyło, że w czasie wakacyi, któreśmy w domu rodziców w tym roku spędzali, przybył na parę dni za urlopem brat mój Stanisław, o którym wyżej już opisując wesele mojej siostry, wspomniałem. Mając u niego niejakię już względy, na nich oparłem całą moją nadzieję, jak również na protekcyi Szczepana. Poczyłem do nich stosowne kroki i z bijącym sercem oczekiwałem skutku ; wszystko się jakoś dobrze udało, bo brat Stanisław przyrzekł mnie poprzeć w prośbie do rodziców, a nawet obiecał, że o mnie będzie pamiętał i odwiedzi w korpusie, bylebym się tylko dobrze tam sprawował. Wkrótce też pocziwy Szczepan zwiastował mi nowinę, że rodzice się zgadzają; można więc sobie wystawić moją radość, a lubo wakacye są dla każdego niewypowiedzianą rozkoszą młodocianego wieku, ja na ten raz przeciwnie, wyczekiwałem niecierpliwie ich końca, aby się w jednej chwili dostać do korpusu.

Zanim jednakże opiszę mój pobyt w Chełmnie, nakreślę tu jeszcze jeden rys ówczesnego prowadzenia dzieci przez rodziców wobec stosunków dzisiejszego pokolenia.

Równocześnie z nami były dwie siostry nasze umieszczone w Toruniu na pensyi ; zbliżały się imieniny przełożonej, które miały być obchodzone z większą niż zwykle uroczystością. Ubiór zbyt skromny jaki posiadały siostry, nie nadawał się

na ten obchód, aby w nim panny kasztelanki mogły odpowiednio wystąpić.
Postanowiły więc napisać list do matki i w najpokorniejszej prośbie przedstawić swoje położenie, prosząc o bardzo skromny zasiłek na sprawienie stosownych sukien. Na to zuchwałe, jak się wyraziła, matka nasza w swym liście, żądanie odebrały bardzo naganne napomnienie i uwagę, że suknie jakie mają są aż nadto dobre na podobne wystąpienie, a za to, że się poważyły na krok podobny, przysłała domowej roboty zgrzebnego płótna z zaleceniem najsurowszem do przełożonej, aby w sukniach z tego materiału, córki jej na tej uroczystości wystąpiły. Stało się według nakazu kasztelanowej, ale siostry moje tak uczuły tę zadaną sobie boleść, że jedna z nich wpadła w galopujące suchoty i na pensyi jeszcze będąc umarła ; druga, silniejszej snąc kompleksyi, z nadwątlonem już zdrowiem wróciwszy po ukończeniu nauk do domu, znienawidzona przez matkę, że jakoby była głównym powodem do śmierci swej siostry, doświadczając ciągłych w domu goryczy, po kilku latach ze zmartwienia również smutne swoje zakończyła życie.

Nadszedł nareszcie tak upragniony przeze mnie koniec wakacyi; odwiezieni zostaliśmy razem do Torunia, gdzie bracia pozostali nadal w szkołach ; po wyjęciu zaś dla mnie potrzebnego szkolnego świadectwa

i zabranii kadeta syna naszego gospodarza, z którym się tak
zaprzyjaźniłem, wraz
z plenipotentem dóbr ojca mojego w Prusach położonych, puściliśmy
się do
Chełmna.

O mil sześć blisko od Torunia nad prawym brzegiem Wisły, w
okolicy dość
malowniczej leży miasto Chełmno, w którym w epoce Ks.
Warszawskiego znajdował
się kopus kadetów dla młodzieży sposobiącej się do stanu
wojskowego. W nim obok
nauk ówczesnym szkolnym programem przepisanych, był
zastosowany wykład
teoretyczny początkowej strategii wojskowej, oraz praktyczne
ćwiczenia.
Zaprowadzony regulamin wojskowy był pod nadzorem generała
korpusu zwykle w wieku
już podeszłym będącego i wojskowych oficerów instruktorów.
Podzieleni byliśmy na
brygady stosownie do starszeństwa wieku i uzdolnienia naukowego.
Mundury i broń
nadawały młodzieży tej powierzchowność zupełnie wojskową ;
staliśmy w koszarach,
które prawdziwie wzorowo były urządzone. Ja dostałem się do
pierwszej brygady i
z całym zamiłowaniem przywykłem wkrótce do karności wojskowej ;
odbywaliśmy
służbę kolejną po brygadach, a na musztrach i strzelaniu do celu, które
się raz w
tydzień odbywały, czas najprzyjemniej mi schodził.

Pod koniec pierwszego roku mojego pobytu w korpusie — a było to
w
najrozkoszniejszym miesiącu maju — zajęty w magazynie
czyszczeniem broni,
zawezwany zostałem przez dozorującego nas oficera do kancelaryi
korpuśnej. Zrazu
skóra na mnie zadrzała, ale nie poczuwając się do winy, śmiało
kroczyłem przez

dzie-

—

dziniec do przyległego pawilonu. W kancelaryi oprócz służbowego oficera stał

wąsaty i mocno dzióbaty wiarus w mundurze, podobnym do barwy pułku brata mego i

po wymienieniu mojego nazwiska i imienia przez dyżurnego, ów podoficer skłonił

mi się, a wydobywając z pod munduru list, odezwał się grubym głosem :

— Brat panicza, porucznik naszego szwadronu, nie mogąc sam go odwiedzić z powodu

służby, polecił mi oddać ten list — tu sięgnął jeszcze do głębokiej kieszeni,

wydobył mały zielony woreczek i oddając mi go dodał — i to jeszcze.

Ja schwyciwszy jedno i drugie, wodziłem osłupiałym wzrokiem, nie wiedząc co

mam zrobić ; widząc to moje zmieszanie oficer służbowy, wyręczył mnie w

odpowiedzi i rzekł :

— Trzeba pokwitować z odbioru i poświadczyć przez kancelaryę — co dopełniwszy

uwolnił mnie, a ja wyleciałem jak szalony i pobiegłem do kwatery.

Tam gdy mnie

obstąpili koledzy, zapytując co się stało, okazywałem im tylko to, com trzymał

w ręku.

W takim razie zawsze się znajdą przyjaciele i ciekawi ; gdyśmy corpus delicti

otworzyli, o dziwo ! było w nim dziesięć dukatów w złocie ! Skarb jakiego nie-

tylko w życiu nie widziałem, lecz posiadać nigdy nie marzyłem nawet, sądząc, że

nad dziesięć trojaków nie znajduje się suma, którąby szczęśliwiec jak ja mógł

posiadać. Gdy mi starsi kadeci, którzy się niebawem z innej brygady znaleźli, wytłumaczyli wartość tego skarbu, sądziłem się być zrazu bogaczem całego świata;

--

więc projekta, rady co tu zrobić? Naprzód postanowiłem wyprawić dla całej brygady ucztę, która składała się w wybornego pod tę porę kwaśnego mleka z chlebem razowym i sławnych w tych czasach szlżaków, których tamtejsi piekarze dla nas dostarczali ; za tę fetę, z której koledzy byli bardzo zadowoleni, zapłaciłem cztery dukaty, gdyż było nas do stu prawie uczujących. Starszy jeden kolega grał niezłe na fleciku, czemu bardzo zawsze lubiłem się przysłuchiwać i marzyłem tylko o tem, jakby kiedykolwiek posiadać ten instrument, tem więcej, że mi czasem pozwolił spróbować i miałem, jak utrzymywał, niezłe zadęcie. Zaproponował mi, znając moją słabość, nabycie flecika za dukata i żebym mu pożyczył drugiego, a on w procencie uczyć mnie będzie ; przystałem na to z wielką radością i układ stanął zaraz. Zostało mi więc cztery dukaty ; znaleźli się też amatorzy drobniejszych pożyczek tak, że w ciągu niespełna trzech dni pozostał mi tylko jeden dukat i kilkanaście trojaków. Poprzysiągłem więc sobie tego ostatniego zachować dla podzielenia się z braćmi, a był podług mnie najładniejszy; trojaki jakoś się rozeszły. Naukę na fleciku posunąłem tak

daleko, że wyuczyłem się nieźle kilka kurantów i szta-
jerów wygrywać.

Nadeszły znowu wakacje; przyjechałem z Chełmna do Torunia i z
braćmi udaliśmy się razem do domu rodziców. Mundur mój kadecki wyróżniał mnie od
braci, a Piotruś nie mógł się dość na mnie napatrzeć, biorąc za prawdziwego
wojskowego. Często wieczorami wygrywałem na moim ulubionym fleciku i
zachwycalo

--

mnie to, jak moje melodie rozlegały się po obszernym naszym
ogrodzie ;
zajmowaliśmy w oficynie dawną naszą szkołę, dziś na kwaterę
paniczów zamienioną.
Ojciec mój w cichy letni wieczór posłyszał raz grę moją i zawoławszy
Szczepana zapytał:
— Kto to tam tak wygrywa?
— A to pan Wincenty proszę łaski JWPana tak się wyuczył w
korpusie.
— No, no — mruknął ojciec — wcale nie źle, musi nam kiedy zagrać.
W końcu lipca na dzień św. Anny zjechało się dosyć osób w dom
naszych rodziców, były to bowiem imieniny mojej matki ; panicze wystąpili w
świętecznych sukniach, ja w nowym mundurze odróżniałem się od braci. Nie wiem
czy to mój strój wpadł ojcu w oko, czy przypomniał sobie moją grę, dosyć, że
kiedy wstawano od dosyć długo ciągnącego się obiadu a myśmy dziękowali rodzicom,
ojciec w przystępie widać dobrego humoru, odezwał się :
— Panie Wincenty, a przynieśno swój flecik i przyjdź nam tu zagraj,
tylko się

dobrze popisz.

Zarumieniwszy się po uszy, a nie wolno było się tłumaczyć,
przyniosłem flecik i
ukłoniwszy się na środku pokoju wśród zgromadzonych gości, zagrać
musiałem
jednego i drugiego kuranta ; uwolniwszy się zaś z tej łaźni, pobiegłem
pędem do
oficyny, gdzie rozplakałem się, w drobne kawałki potrzaskałem mój
flecik z tem
silnem postanowieniem, że się żadnego instrumentu w życiu mojem
nie dotknę. Tak
więc na zawsze po-

—

grzebałem mój talent muzykalny, który taką ofiarą zdobyłem.

Opisałem ten mój wypadek dla pożytku obecnego pokolenia, ile że
dziś rodzice
wydając na naukę muzyki dziecka swego nieraz tysiące rubli, nie
mogą uprosić go,
aby wynagradzając ich starania, uprzyjemniło im chwile wobec gości,
zagranie na
ich żądanie ; moja muzyka nic nie kosztowała, lecz rozkaz rodziców
był dla
dzieci wówczas prawem.

Wspomniałem na początku mego opowiadania, że ojciec mój miał
dwie żony. Jako
już dygnitarz kraju, będąc wdowcem po pierwszej, a posiadając
znaczny majątek
bez trudności pozyskał względy wysoko położonej i posażnej panny ;
matka moja do
takich właśnie partyi należała, kiedy się mój ojciec z nią zenił, była
bowiem
jedyńczką. Tymczasem w lat parę po wydaniu córki za mąż kasztelan
inowrocławski
Dąbski, dziad mój, w podeszłym już wieku będący, powtórnie się
ożenił i miał

dwóch synów i córkę ; fortuna przez to znacznie się rozdrobniła lubo
był jednym

z możniejszych w kraju obywateli.

Mieszkał w Księstwie Poznańskim i dowiedziawszy się, że wnuk
jego jeden jest
w korpusie kadetów w Chełmnie, zażądał od mego ojca, aby mi
pozwoił przepędzić
u niego wakacye. Zrazu posmutniałem na tę wiadomość, przesłaną mi
dość wczesnie,
bo to mnie rozdzielało z moimi braćmi, z którymi zawsze wesoło czas
spędzałem,
ale gdy rodzice zgodzili się na to, wola ich była dla nas świętą, więc
pogodziłem się

--

wkrótce z mym losem i ciekawy nowych wrażeń, pojechałem do
mego dziada.

Jedna mnie rzecz mocno niepokoiła ; pod koniec roku w korpusie
zagnieździła
się u nas świerzba, kilkudziesięciu kadetów po odbytej ścisłej rewizyi
poszło do
lazaretu, a że jak wiadomo choroba ta jest łatwo udzielającą się,
wyjeżdżając
już na wakacye i ja dostrzegłem na sobie ślady tej dolegliwości, ale
nie chcąc
się wydać, aby mnie nie zatrzymano w lazarecie z tym miłym
nabytkiem, pojechałem
do mojego dziada.

Dwór kasztelana w obszernych dobrach, jakie posiadał, był jak na
owe czasy
wspaniale dosyć urządzone, a dziad już był powtórnie wdowcem ;
synowie jego żyli
każden już na swoim chlebie i mieszkali o mil parę w Ks.
Poznańskim ; bawiła
tylko w domu córka najmłodsza, dwudziestoletnia panna, a moja
przyrodnia ciotka,

cudnej urody kobieta. Sam kasztelan już blisko ośmdziesiątletni
starzec,
podlegając cierpieniom pedagry, z trudnością zaledwie mógł się
posuwać,
najwięcej przeto siedział w fotelu. Swobodę miałem tu wszelką, bo
dziadek jakoś
mnie polubił, jednakie bałem się go, gdyż był surowym w całym
obejściu i
nadewszystko cenił spokojność. Polowanie, do którego miałem już
niepohamowaną
pasję, pochłaniało większą część mego czasu. Poznawszy się bliżej
z moją
ciotką, szesnastoletni młokos, zakochałem się w niej szalenie; ona
polubiwszy
mnie także z figlów, do których już miałem spryt niemały, spoufaliła
się ze mną;
ale gdy się wydała ta nieszczęśliwa moja dolegliwość, która najwięcej
się
objawiała na rękach, wszelkie zbliżanie się do mego

— —

bóstwa było mi jak najsurowiej wzbronione ; darowała mi kilka par
rękawiczek, w
których mi tylko wolno było około niej bliżej się znajdować. Ja
korzystając z
tego jej przestachu, zawsze zdobywałem ten całus, strasząc ją, że jak
mnie
ciotka nie pocałuje, to ją zaraz zarażę, co mi się zawsze udawało, ale
miałem
ręce w tył chować.

Raz ciotka w przystępie dobrego humoru zawołała na mnie :
— Wicus, chodź ze mną na spacer.

I przez szklane drzwi wybiegła jak spłoszona sarna ; gdym i ja
pośpieszył za
nią, już była na końcu ogrodu i puściła się drogą do parku; dobiegłszy
zmęczona,

rzuciła się na darniową ławkę. Kolory na twarzy od szybkiego biegu i przyśpieszony oddech przy rozwianych włosach podnosiły jej piękność ; w ten

moment, pomyślałem sobie, jest chwila najspodobniejsza do objawienia mych

uczuć... teraz albo nigdy. Więc rzucam się przed nią na kolana i wołam :

— Ciotko ! ja ciebie nad życie moje kocham, musisz być moją!

A ta nie namyślając się — buch mnie w twarz; aż odgłos tego silnego policzka

rozległ się po parku, a ona zerwawszy się, pobiegła drogą do domu.

Ja zgłupiałem na razie i w pozycyi klęczącej pozostałem tak jakiś moment,

potem odwróciwszy się, ujrzałem tylko migocącą się postać mej ciotki w głównej

już alei ogrodu, prowadzącej wprost do pałacu.

Zmartwiony myślą co z tego mego postępu wypadnie, zadumany, usiadłem na tej samej ławce, na

której przed chwilą moje bóstwo siedziało, obserwując każdy ruch od ogrodu;

przypuszczałem bowiem, że ciotka poskarży się na mnie przed ojcem.

Posiedziawszy tak z jakie pół godziny dostrzegłem nareszcie postępującego ku

mnie służącego, który zbliżywszy się rzecze :

— JWPan rozkazał, abym panicza jak tylko znajdę zaraz przyprowadził; śpiesz się

panicz, bo pan kasztelan czekać nie lubi.

I powiódł mię jak na ścięcie z sobą.

Wszedłszy nieśmiało do pokoju stanąłem przy drzwiach w pokornej postawie, co

dziadek postrzegłszy, mówi :

— Zbliź się tu wasze do mnie.

I objąwszy mnie rękoma przycisnął do piersi tak mocno, że aż mi się
dwa guzy
metalowe od jego kapoty odcisnęły na czole.

— Dzielnieś się spisał mój chłopcze — dodał z uśmiechem — widzę,
żeś jest
nieodrodny mój wnuk.

Tu, wsparłszy się z trudnością o poręczę fotelu, następnie zaś na
lasce,
podszedł, suwając nogami ku swojej apteczce, otworzył ją i dał mi
kieliszek wina
i piernik toruński.

Tak tedy skończył się ten wybryk młodocianych mych uczuć jak
najpomyślniej
dla mnie, a że poczciwy stary kuchta domowymi środkami wyleczył
mnie z mojej
dolegliwości i ośmielony będąc przez dziadka, nie przestawałem
wynurzać ciotce
moich miłosnych zapałów, z czego się ona nieraz serdecznie uśmieła.
Skończyłem kurs w korpusie z zadowoleniem mej

władzy i pożytkiem dla siebie; zanim jednak opuszczę Chełmno,
muszę tu wspomnieć
o jednym z najważniejszych wypadków dziejów ówczesnych, zaszłym
w ostatnim roku
mojego tamże pobytu.
Była to epoka najciekawsza na początku obecnego stulecia, rok .
Resztki
zwycięskiej wszędzie armii Napoleona I, dokonywały swego
fatalnego odwrotu z
Rossyi ; wszyscy przejęci byli ważnością tych wypadków. Do nas
doszła wiadomość,
że twórca Księstwa Warszawskiego przez Chełmno przejeżdżać
będzie ; w paradnych
więc mundurach z bronią, uszykowani w szeregi przez trzy dni
oczekiwaliśmy tego

bohatera. Nareszcie, kiedy zbliżyła się jego karetka, zaprezentowaliśmy broń; to

zwróciło uwagę cesarza, kazał stanąć i zapytał:

— Co to znaczy ? cóż to za wojsko ?

— Młodzi kadeci, obrońcy twoi najjaśniejszy panie.

Uklonił się nam po trzykroć ręką z karety, myśmy go okrzykiem pozdrowili,

zapisał coś w pugilaresie i odjechał.

My dumni z tego wypadku, czuliśmy się w obowiązku czuwać nad bezpieczeństwem

osoby cesarskiej i przez tydzień przeszło odbywaliśmy z bronią w rękę po drodze

patrole. Raz wyszło nas kilkunastu starszych na spacer i ujrzeliśmy pierwszych

kozaków, dążących traktem ponad stromymi parowami, w które okolice Chełmna

obfitują, a za nimi Baszkirów w ogromnych barankowych czapkach.

Gdy jeden z

nich, maruder, na zakręcie zatrzymał się, by coś koło konia poprawić,

my z tyłu zniemacka zepchnęliśmy konia w głębokie parowy, a że Baszkir miał uzdę

owiniętą koło ręki, stoczył się więc z nim razem i zabił na miejscu.

My

zmieszani tym niespodziewanym wypadkiem, uciekliśmy, bojąc się nowych

przybyszów, ale jakoś szczęśliwie nikt się o tem nie dowiedział, a między nami

tajemnica najściślej zachowaną została.

Napoleon na wyspie św. Heleny przypomniał sobie o nas i kazawszy wybić

bronzowe medale nadesłał je nam z napisem polskim :

Napoleon I Kadetom w Chełmnie R. Towarzyszom Broni.

Medal ten pamiątkowy znajduje się w rękach naszej rodziny.
Żegnając kolegów z prawdziwym żalem opuszczałem korpus, gdzie
cztery lata
najrozkoszniejszej mojej młodości spędziłem; jedyną pamiątką, jaką
stamtąd
wywiozłem, był przyswojony przeze mnie wąż, których mnóstwo
gnieździło się w
okolicach Chełmna. Tak się do mnie przywiązało to niewinne
stworzenie, że gdy
wychodziłem z kwatery, piszczął za mną niemiłosiernie, brałem go na
lekcye i
musztry, puszczając sobie za kark ; on się okręcał około szyi i nie
ruszając się
najspokojniej spoczywał rad z ciepła, które naturze jego snadź
dogadzało.

Powróciłem tedy do domu rodzicielskiego już ośmnastoletnim
młodzieńcem.

Ojciec mój, posunąwszy się w latach, podupadł znacznie na zdrowiu,
mając zaś
niemały majątek, a przytem jeszcze obowiązki piasto-

wanego przez siebie urzędu, do pomocy i załatwiania licznej
korespondencji
przyzywał zwykle jednego z synów, który z porządku po ukończeniu
nauk pełnił

obowiązki sekretarza i obznajamiał się przez to z interesami.

Kiedym przybył po ukończeniu nauk w korpusie do domu,
stanowisko to zajmował

brat mój Hieronim, mający lat dwadzieścia sześć. Dziś, o ile to sobie
przypomnieć mogę, brat mój będąc gdzieś w towarzystwie, poróżnił
się ze starszym

od siebie obywatelem i przyszło do tego, że został tenże obywatel
przez mego

brata w twarz uderzonym ; nastąpiło więc wyzwanie na pojedynek.
Ojciec mój

ogromnie się tem zmartwił, przywołał syna do siebie, najsurowiej mu
cały
postępek jego zganił i nakazał przeprosić znieważonego ; czego gdy
brat mój
odmówił, ojciec, z natury swej łagodny, tak się uniósł, że porwał
szpicrutę i
uderzył syna. Brat Hieronim zniosłszy tę karę ojca z pokorą, po
odbytym
pojedyńku na drugi dzień wyjechał i udał się do majątku ojca,
położonego w
Prusach. Zrazu to nikogo nie zastanowiło, bo zwykł był to nieraz
czynić; lecz
zlustrowawszy tam gospodarstwo i stan kasy, bo był do tego
upoważnionym, napisał
pokwitowanie, zarządzające mu na dwa tysiące talarów i odtąd
zniknął bez wieści.

Gdy długi czas nie wracał, ojciec zaniepokojony używał wszelkich
swych
wpływów na odszukanie syna, którego bardzo kochał, lecz napróżno,
do śmierci nie
doczekał się tej pociechy. Wieść była, ale nie dość pewna, że
zaciągnął się do
wojska tureckiego, zmienił

--

religię i nazwisko i że potem, prawdopodobnie w kampanii r. z
Rosyą,
zginął.

Testamentem zabezpieczył ojciec mój dział jego na majątku, który
przez czas
prawem oznaczony oczekiwał na zgłoszenie się brata naszego, albo
jego
spadkobierców, ale i w tem, snadź z wyroku Boga, nie spełniła się
rodzicielska
nadzieja.

Ojciec, jako sam wysoko ukształcony, uznawał potrzebę głębszej nauki dla swoich synów, każdemu pozostawiając wybór powołania. Sposobili się więc jedni do stanu obywatelskiego i służby publicznej, kilku służyło w wojsku, jeden z braci moich obrał stan duchowny, lecz później z niego wystąpił ; ja zamierzyłem zostać doktorem i w tym celu udałem się do Krakowa, lecz po dwóch latach nie mogąc wytrwać w obranym zawodzie, na inny wydział przeszedłem. Nie będę tu opowiadał pobytu mego w Krakowie, znany jest ten gród z wielu opisów w dziejach naszych ; tam byłem już więcej zajęty pracą i poważniej na świat spoglądałem. To miasto nasze, tak bogate w historyczne pamiątki, nastraja już mimowolnie każdego myślącego człowieka do gromadzenia skarbów nauki. W trzecim roku mego pobytu w Krakowie uderzony zostałem jak gromem wiadomością o niebezpiecznej chorobie naszego ojca. Bez straty czasu, najętą furmanką ruszyłem w drogę, zaopatrzywszy się w kilka bochenków sławnego chleba, promnickim zwanego ; bardzo mi on dobrze posłużył przy nader szczupłych moich funduszach w podróży, bo w końcu oprócz mnie i człowieka żywił nawet ko-

--

nie, dla których brakło obroku. Przybywszy do domu, zastałem jeszcze ojca naszego przy życiu i kilka miesięcy trwał ten stan niepewny, który w przewidywaniu smutnej katastrofy zgromadził nasze rodzeństwo strapione około

łóża chorego rodzica.

Rok był rokiem zgonu mojego ojca. Matka ugodzona tym ciosem
zmieniła się
dla nas zupełnie; była nadzwyczaj czułą i kochającą wszystkie teraz
dojrzałe swe
dzieci ; żądała też zawsze być otoczoną przez nas. Nastąpiły działy
majątkowe,
które przy wychowaniu naszym tak dziwnem i różnem w pojęciach
dzisiejszego
czasu, odbyły się wszelako jak najzgodniej, mimo tak licznego
rodzeństwa, i
prawdziwie mogłyby posłużyć ku zbudowaniu obecnego dziś
pokolenia. Matka moja do
śmierci swej pozostała w rezydencji zajmowanej za życia męża.
Jeden ze starszych
braci zamieszkał w gnieździe rodzinnem, które po dziś dzień familia
nasza
posiada; inni bracia poobejmowali odleglejsze majątki z obowiązkiem
spłaty
reszty rodzeństwa. Jako fakt zgodności i miłości istniejącej w
rodzinie, w
której materyalne względy nie były na pierwszym planie, piszący te
słowa
(Antoni) w papierach po ojcu (kasztelanicu Wincentym) znalazł
rachunek ręką jego
skreślony z bratem Stanisławem, od którego działowa suma mu się
należała tej
treści: »wybrałem tyle a tyle i tu wyrażone są cyfry różne, co wypada
wogóle
wyplaconych tyle — ażeby się bratu memu lepiej działo, darowuję
mu .
złotych, co razem czyni — należna suma, skwitowana «. Nadmieniam
tutaj, że
ojciec mój, gdy to pisał, miał już sam czworo dzieci i jego

położenie wówczas wcale świetnem nie było ; stryj zaś Stanisław był bezdzietnym.

Z tego całego przebiegu opowiadania mojego ojca o ówczesnym wychowaniu młodzieży, porównywając go z obecnym, możnaby postawić sobie pytanie — czy zbyteczna surowość przodków naszych, czy też łagodność, pobłażliwość i papinkowate wychowanie obecnego pokolenia, lepsze dla społeczeństwa wywołują skutki. O tem zapewne historia w późniejszych czasach wyda sprawiedliwy i bezstronny swój wyrok.

III.

Pan Miecznik. — Dalsze losy kasztelanica. — Kilka wspomnień jego syna.

Po śmierci kasztelana, który pochowany został w grobie familijnym przy kościele w drugim swoim majątku, Konecku, pozostało nas z tak liczного potomstwa ośmiu braci i siostra ; bracia wszyscy zamieszkali w jednej prawie okolicy, na Kujawach, siostra tylko, której ślub opisałem wyżej, osiedlona była w innej stronie, w ówczesnem województwie Kaliskiem, w Stropieszynie. Zgoda i miłość rodzinna wiązała nas w najściślejsze stosunki. Trzej bracia starsi byli już żonaci ; Stanisław dosługiwał się w wojsku coraz wyższych stopni i doszedł wreszcie do rangi pułkownika. Ignacy, który także w wojsku służył za księcia Konstantego (brata cesarza Aleksandra I-go), słynącego ze swych oryginalności,

ale zamiłowanego do ideału w wojskowości, padł ofiarą fanatyzmu,
panującego w
owym czasie dla wodzów. Kiedy bowiem księżę w swym nadzwyczaj
prędkim
charakterze, podczas musztry na

Saskim Placu wykrzyczał oficerów pułku, ci, rozżaleni, dali sobie
słowo o jednej
godzinie na drugi dzień pozbawić się życia. Dwunastu padło ofiarą, a
między nimi
i brat mój, zamknąwszy się w numerze niemieckiego hotelu. Trzeci
brat, Ludwik,
był w szkole podchorążych ; reszta braci i ja gospodarowaliśmy już na
własnych
majątkach.

W lat trzy po śmierci naszego ojca, wszedłem, młodo bardzo, bo w
roku
życia mego, w związek małżeński, z młodą również, bo zaledwie z -
letnią panną,
córką młodszą IMpana Stanisława Biesiekierskiego, miecznika
kruszwickiego, który
ojcu mojemu wypadał w stopniu brata w czwartym pokoleniu od
Adama
Biesiekierskiego, chorążego rawskiego (). Starania się mego o rękę
żony,
szczegółowo tu opisywać nie będę, gdyż nie mam zamiaru
opowiadania romansu, lecz
podaję tu jedynie rys dziejów naszej rodziny. Chociaż dzisiejsza
młodzież
inaczej pojmuje te trudy, a o widoki przyszłego życia dbała,
wygodniej to sobie
urządza ; nadmienię tylko, że chowany nie tak wygodnie jak obecnie,
odbywałem
nieraz przejazdy po parę mil za sankami w trzaskający mróz, asystując
pannom we

fraku, na wierzch mając tylko krótki spencer watowany, będący
natenczas w
modzie. Futer bowiem na on czas młodzież nie używała, gdyż była
więcej
zahartowaną, a kataru ani chrypki wcale nie miewałem. Starać się
będę opisać tu
postać teścia mojego, który jako rzadki już typ ówczesny, zasługuje na
przedstawienie więcej szczegółowe.

Pan miecznik, acz sam z siebie niezbyt majątny,

--

lecz pełen towarzyskiej ogłady i niezwykle piękny mężczyzna,
doszedł do znacznej
fortuny, biorąc posagi po trzech żonach; jedna z nich była bezdzietna,
z dwóch
innych miał trzy córki i dwóch synów. Uposażywszy starsze swe
dzieci z pierwszej
żony, sprzedawszy resztę majątku i zgromadziwszy kapitały, osiadł
dla edukacyi
młodszych swych dzieci, podeszły już wiekiem, w powiatowem
mieście, gdzie kupił
sobie przytem dom z obszernym ogrodem.

W mieście więc starania o rękę mojej żony odbywać musiałem.

Teść mój w żadne papiery państwowe nie wierzył, ani w pożyczki się
nie
wdawał, wszystko co posiadał miał w złocie i srebrze. Żył nadzwyczaj
oszczędnie,
a na wydatek wszelki był skąpym, tak, że mało co dokładał do
dochodów, jakie
miał z obszernej swej posesyi. Ile tracił na bezprocentowym tak
znacznym
kapitale, łatwo się domyśleć, ale tego nikt mu wytłumaczyć nie mógł.
Zbijał
zawsze argumentami, ile to papierów unieważniono, ile się napaliło, a
kapitałów

na procencie umieszczonych przepadło. Prawo hipoteczne, dziś istniejące, było jeszcze instytucją początkującą. Starzy więc w nią nie bardzo wierzyli.

— Gotówka, to grunt, mospanie — powtarzał zawsze pan miecznik. W takim położeniu będąc, urządził się też stosownie. Posesya jego cała była wysoko oparkaniona, okna szczelnie okratowane, bramy i wejścia boczne, warownymi opatrzone zamkami. Mieszkania w swoim domu takim tylko lokatorom wypuszczał, którzy byli

spokojni i bezwarunkowo zobowiązywali się wieczorem o dziewiątej godzinie być już u siebie w domu, o tym bowiem czasie sam całą kamienicę zamykał, klucze do siebie zabierał i nie wpuścił ani wypuścił nikogo, gdyby to nawet niebezpieczeństwem zdrowiu groziło.

Życie więc tam nie wesoło, zwłaszcza młodym, schodziło ; w staraniu się jednak o żonę, musiałem się do tych zwyczajów zastosować.

O dziewiątej zrana wychodził pan miecznik regularnie do katedry na mszę, a w niedzielę i święta na większe nabożeństwa do klasztoru Reformatów, gdzie był starszym w bractwie różańcowem. Zawsze o jadano obiad, a kto się spóźnił, żeby to nawet był syn rodzony, nie dostawał nic. «Spóźniłeś się waspan, łapę liż», mówił gospodarz. Miał uprzywilejowanych swoich gości w mieście, którzy go odwiedzali, grywał z nimi w maryasza na Zdrowański; gdy je przegrał, z całą

pokorą, klęcząc ze złożonemi rękoma odmawiał, i ściśle nów
pilnował, aby
przegrywający spełnił to samo ; kupiwszy zaś talię kart polskich na
wigilię
Bożego Narodzenia, nie zmieniał ich i musiały one cały rok służyć,
choćby były
najniemiłosierniej podarte.

Od czasu ożenienia się mojego siedm lat już było upłynęło, Pan Bóg
obdarzył
mnie trojgiem dzieci: dwoma synami i córką ; nic wszelako
ważniejszego w
rodzinie naszej nie zaszło, aż dopiero rok był epoką ogólnego
krajowego
wstrząśnienia. Zaciągnąłem się do dziewiętnastego pułku liniowego
kosynierów,
który się formował w Łęczycy pod nazwą Mazurów ; wstąpiłem w
stopniu porucznika.
Pułk ten złożony był

po większej części z obywateli i okolicznych włościan, stąd też
pułkownik nasz,
dawny wojskowy i rygorysta, chociaż dobry człowiek a dzielny i
mężny dowódca,
niecierpliwy jednak przy ćwiczeniach i mustrze, wyzywał na nas,
gdyśmy się w
manewrach zmylali : — »A, nieuki! bronowłoki, hreczkosieje U co
nas nieraz
niecierpliwiło. Gdyśmy do Warszawy przybyli i naczelny wódz
lustrował nasz pułk
na Saskim Placu (a było to w wigilię bitwy pod Grochowem),
zadowolony był bardzo
i wołał: » Dobrze, dzieci! dobrze, kontent z was jestem ! Przyszliście
w czas,
wkrótce odbędziecie wasz chrzest, a teraz powiedzcie, czy nie macie
co do

zażalenia się ? Czy dochodzi was wszystko ?« — Na te słowa nastąpiła cisza, tylko

kilku z nas porozumiało się wzrokiem — i wystąpiliśmy z szeregów.

— Cóż takiego ? panowie — odezwał się generał.

— Wszystko dobrze, generale, tylko niezadowolony jest pułk Cały ze swego dowódcy

— odpowiedziałem w imieniu wszystkich.

Tu wystąpił pułkownik i wyciągając do nas rękę, rzecze :

— Nie jest to stosowna chwila, abyśmy się mieli waśnić; jeśli was, panowie,

obrzyłem, przepraszam wobec generała i wierzcie mi, że nie uczyniłem tego w

chęci ubliżania wam, lecz może ze zbytku gorliwości w mojej służbie; dlatego

przebaczcie i bądźcie cierpliwi, poprowadzę was na pole walki i tam dowiodę, że

dbał o wasze i ojczyzny dobro, a starać się będę zasłużyć na to, abym godzien

był waszej przyjaźni !

Wtem cały pułk krzyknął:

— Niech żyje nasz pułkownik! — my zaś, uściskawszy mu rękę, wróciliśmy do szeregów.

Kiedy generał nas opuścił, pułkownik zakomenderował: »marsz« i pociągnęliśmy na Pragę. Tam staliśmy jeszcze do wieczora i gdy się zmierzchać już miało,

pułkownik, snadź nie zapomniał mi swej urazy i wydał rozkaz, abym wziął z mojej

kompanii dwunastu żołnierzy na ochotnika wraz z dobozem i udał się na szpicę,

nie zatrzymując się aż wyda rozkaz. Gdyśmy tedy wyszli za rogatki Grochowskie,

już dały się słyszeć wyraźne strzały armatnie ; maszerując tak z godzinę,
spotykaliśmy ambulanse z rannymi, których z pola bitwy pod Grochowem wieziono do Warszawy. Był to dla świeżego i młodego żołnierza widok nie wzbudzający wiele odwagi. Strzały huczały w powietrzu, zrobiło się ciemno zupełnie, nie wiedzieliśmy w jaką otchłań idziemy i jak długo tak postępować będziemy.
Pułkownik widać chciał doświadczyć mojej odwagi i dopuścił mnie pod samą linię bojową tak, że utraciłem od kuli jednego już z moich żołnierzy, gdy dopiero nadbiegł adjutant i zawołał: »stać«. Pułk nasz się zbliżył, a po sformowaniu kolumny stanęliśmy w asekuracji armat i w tej pozycji przez parę godzin, nie ruszając się, murem staliśmy na miejscu. Szeregi nasze dosyć się gęsto przeredzały, bośmy stali w największym ogniu, parę razy tylko zmieniając pozycję. Wiadomo każdemu z opisu tej kampanii, że w słynnej bitwie pod Grochowem z obu stron nieprzyjacielskich pozycji, głównie czynne były działa, których z obu

stron do sześciuset grało, blisko przez dwanaście godzin. Jedni tylko »Czwartacy«, pułk piechoty, cudów waleczności dokazywał w sławnej »szynce«, którą to pozycję po cztery razy bagnetem zdobywał, czem się potem nawet chełpił pono sam W. ks. Konstanty, że jego ulubieńcy tak się dzielnie spisywali:

Rezultat bitwy z obu stron nie był rozstrzygnięty i cofnęły się one z pola walki. Nasz pułk odbywszy dobry chrzest, bo nam sporo żołnierzy ubyło z szeregów, cofnięty został z zajmowanej pozycji i nakazano spoczynek.

Nigdy mi w życiu tak nie smakowało jedzenie i fajka, jak po tym marszu, który odbyliśmy i po bezsennie spędzonej nocy.

Innych batalii, w których uczestniczyłem, opisywać nie będę, nadmienię tylko, że w bitwie pod »Ostrołęką« zostałem ranny i odesłano mnie do głównego lazaretu w Warszawie. Po wyleczeniu się z rany zachorowałem na tyfus i zaledwie w ośm tygodni jako rekonwalescent powróciłem do domu. W czasie mej nieobecności

przybył mi syn, któremu na pamiątkę epoki dałem imię Wiktor.

W sąsiedztwie mojem miał majątek generał wojsk rosyjskich Ksawery Dąbrowski; w obecnej epoce krajowych zaburzeń była to wybitna postać. Poaresztował on wiele znaczniejszych osób w okolicy, a głównie wszystkich obywateli, którzy mieli jakikolwiek udział w rewolucyi i mnie też w parę tygodni po powrocie do domu aresztowano; zastałem już niemało towarzyszków, a pomiędzy innymi nawet ś. p. arcybiskupa Fijałkowskiego, wówczas będącego jeszcze prałatem i ka-

nonikiem katedralnym. Był to rok , rok największej może w kraju naszym cholery, która skutkiem przechodu wojsk i wojny u nas grasowała. Jako więźniowie

polityczni byliśmy ulokowani po domach w małej mieścinie, gdzie
połowa ludności
wymarła ; w domu, w którym ja byłem umieszczony, zmarło
jedenaście osób w ciągu
dwóch tygodni. To zmusiło ówczesną władzę do pomieszczenia nas w
innej
miejscowości. Dostaliśmy się na wieś do obszernego opustoszałego
dworu,
pilnowani zaś byliśmy przez trzydziestu żołnierzy i oficera ; było więc
nam już
weselej razem w niewoli naszej, ale odcięci byliśmy-od wszelkich z
zewnątrz
wiadomości. Oficera, który niezłym był człowiekiem, przypuściliśmy
do naszego
towarzystwa, a żołnierze mając się od nas dobrze, lubili nas bardzo.
Ja, żywej
natury, pełen wiary i nadziei, nasłuchiwałem i zbierałem wiadomości,
jakie się
do nas dostać mogły. Było to w chwili kiedy Rosyanie zdobywać
mieli Warszawę
przez korpus ks. Paszkiewicza, który się z za Wisły koło granicy
pruskiej przez
naszą okolicę przeprawił. Głucha wieść doszła nas, że Rosyanie
odparci i pobici
zostali ; ja więc nie tracąc czasu, rozbrajam dobrodusznego oficera,
ubieram się
w jego przybory i obejmuję komendę nad żołnierzami, ufny, że lada
chwila zjawi
się jakiś nasz oddział, który nas wyswobodzi. Tego dnia jakoś cicho
było, żadna
potwierdzająca wiadomość nie nadeszła, przez drugi dzień cały
jeszcze miałem
nadzieję, lecz pod wieczór przyszła przecie rozwaga, oddałem więc
pocziwemu
oficerowi jego broń i uniformy, a on dalej pełnił swoją służbę.

Dowodził w okolicy siłą zbrojną generał Kreutz, który objeżdżając konsystujące wojska i nas często odwiedzał ; był to bardzo zacny człowiek, niemłody już, wykształcony i miły, więc z nami był w dobrych stosunkach i myśmy polubili go także. Gdy nadjeżdżał, żołnierze zwykle występowali, a oficer zdawał raport swemu dowódcy, naturalnie więc z obowiązku służby nie mógł zataić tego co zaszło. Generał wszedł do naszej kwatery i rzecze do mnie : — Panie ! coś zrobił? rozbroiłś oficera, będącego na służbie, wiesz co cię za to czeka w czasie wojny? — Kula ! — Ale dziękuj Bogu, że to na mnie trafiło, przebaczam ci, bo wiem, że masz żonę i czworo drobnych dzieci, niech to jednak zostanie przy was moi panowie.

Uściskałem tego zacnego człowieka, bo prawdziwie na to zasługiwał, on zaś odezwał się :

— Za to co robię nie dziękuj, ale możesz mi się odwdzięczyć inaczej ; ja nie mam dzieci, oddaj mi dwóch twoich starszych synów w opiekę, zajmę się jak moimi własnymi, oddam ich do korpusu (widywał bowiem ich pierwej gdy mnie odwiedzali).

Żona moja wszelako słuchać o tern nie chciała ; dziś kto wie, jaki los spotkałby synów moich.

W parę miesięcy za wstawieniem się generała Kreutza za nami i wskutek dobrej opinii tego zacnego człowieka, zdanej o nas do władzy, uwolnieni zostaliśmy z niewoli i ja powróciłem do domu.

Po klęskach wojennych, jakie kraj nasz przeszedł, zniszczenie gospodarstw,

tam zwłaszcza, gdzie odbywały się batalie lub przechody głównych armii, było okropne.

--

Nastąpiła wiosna r., inwentarz jaki pozostał wy-zdychał, bo był i pomór na bydło — reszta niedobitków koni nosata — siał nie było czem — kredytu żadnego. Kiedy tak zrozpaczony i zadumany siedziałem w oknie, patrzę — przez wieś moją jedzie kilkanaście wozów wyładowanych zbożem i nareszcie skracają w podwórze.

Wychodzę z zapytaniem coby to miało znaczyć i poznaję gospodarzy z sąsiedniej wsi. Tu występuje do mnie najstarszy wiekiem, nazwiskiem Mistera i kłaniając się rzecze :

— Wiemy, że wielmożny pan jesteś w kłopotcie, nas Pan Bóg jakoś ochronił od zupełnej klęski, więc przyjechaliśmy Wpanu zaorać i zasiać pole, a jak Pan Bóg da, że się urodzi, to Wpan nam odda ; my przecież sąsiedzi wspierać się powinniśmy, tak Pan Bóg przykazał.

Czyn ten i mowa szczerą tych ludzi rozrzewniały mnie bardzo; przyjąłem ich dar, bo to był naszego poczciwego ludu prawdziwie chrześcijański uczynek i plon był z tego siewu bardzo obfity.

Rodzice mojej żony dotknięci zostali bolesnym bardzo ciosem; syn ich najmłodszy Julian, dwudziestoletni młodzieniec, zginął w kampanii r. Matka, która do szaleństwa kochała swego jedynaka, bolejąc nad jego utratą, z płaczu

zaniewidziała i do śmierci już nie odzyskała wzroku.

Miecznik wobec wypadków krajowych tem większą jeszcze otoczył się w domu swym ostrożnością. Podczas rewolucyi po parę razy zajęte miasto przez nieprzyjaciela narażone było na rabunek ; wtenczas

szczelnie się on zamykał i nie dopuszczał nikogo ; tylko pijanym zwykle żołnierzom podawał oknem na długim kiju przygotowane już woreczki z drobną miedzianą monetą i tym sposobem jakoś się szczęśliwie od napaści ratował; zamknąwszy wokoło okiennice i drzwi szczelnie zawsze powtarzał: »zdieś wsie ludi na choleru pomerli, niet nikoho«.

Rok był epoką działania emisaryuszów, którzy z narażeniem się własnem usiłowali powtórny rokosz wywołać. Wieści dziwne krążyły po mieście a miecznik nie mając komunikacyi prawie z nikim, ciekawy był wiadomości. Jedyną kobietą, którą dopuszczał do siebie, a ta miała styczność z miastem była stara Chaberska, trzymająca w dzierzawie ogród, mieszkała zaś w oficynie. Ta przychodziła zwykle zmrokiem i obowiązaną była opowiedzieć pod sekretem co w czasie dnia usłyszała na mieście ; była to rodziców żony mej jedyna gazeta chodząca. Gdy przyszła, zamykały się wtenczas szczelnie drzwi, ona usiadała na kanapie blisko niewidomej matki, miecznik zaś ciekawy, a mocno już głuchy przysuwał się z krzesłem do

nich. Cichym szeptem szła naprzykład następująca rozmowa. Matka się pyta :

— No i cóż tam słyhać Chabersiu ? Ona również cichym głosem odpowiada :

— A to proszę pani idę sobie ulicą i patrzę... idzie żołnierz ubrany z karabinem.

— Imość, imość, co ona mówi? — pyta miecznik.

— Cicho Stasiu, bo kto usłyszy — szepce mu

--

do ucha żona — Chabersia mówi, że szła sobie ulicą i widziała żołnierza co szedł z karabinem.

— O, o ! dla Boga ! — wzdycha miecznik — ja nieszczęśliwy.

— Cóż dalej — pyta się matka?

— To jeszcze nic proszę pani — mówi Chaberska — ale idę koło magazynu solnego stoi żołnierz na warcie i to także z bronią.

— Co ona mówi? — odzywa się znów niecierpliwy miecznik.

— Cicho, cicho — powtarza matka — powiada, że szła koło magazynu solnego i tam stał na warcie żołnierz z bronią.

— Co imość mówisz, ach Boże! będzie znowu wojna !

Na tem ograniczały się wiadomości polityczne, bo za nic żadnej gazety nie

brał miecznik do ręki, gdyż wszystkich co czytali uważał za rewolucjonistów źle widzianych od władzy.

Za nic nikomu grosza nie pożyczył ; raz syn jego z pierwszej żony przyjechał

odwiedzić rodziców, a więcej w celu pożyczania od ojca pieniędzy.

Po przywitaniu

i zjedzeniu* obiadu zaczyna się syna wypytywać :

— Cóż tam u Wasana słyhać, urodzaj masz dobry.

— Tak, dosyć proszę ojca, urodziło się nieźle, tylko mi pszenica prawie wszystka

poległa i ma szczupłe ziarno ; właśnie chciałem prosić ojca o
pożyczenie mi
pieniędzy, bo potrzebowalibyśmy do siewu nabyć lepszego ziarna.

I całując go w rękę dodał : ja ojcu kochanemu oddam.
Na to miecznik mruknął:
— Hm, hm, wiesz Wasan co — nie siej pszenicy, bo widać do niej
niemasz
szczęścia.
I nie dał mu ani grosza, choć to był syn pierworodny.
Zawsze narzekał na biedę, mówiąc : »Ja nie wiem z czego wy tam na
wsi
żyjecie! bo ja to nie mam sobie za co soli i chleba kupić. Miał jednak
wydatki
swoje, na które nie żałował i spełniał je z całą sumiennością. Co
piątek o
rano schodzili się przed kamienicę miecznika ubodzy z całego miasta;
gdy już
zobaczył oknem, że liczba ich jest spora, wychodził do nich,
uszykował w dwa
rzędy na ulicy, jak wojsko, i porachował ; dopiero odliczył sobie
stosowną ilość
groszy i zapowiedział, żeby się nikt nie ruszył, dopóki wszystkich nie
obdzielą,
sam zaś środkiem postępując, rozdawał jałmużnę. Dziady i baby
wiedząc już ten
zwyczaj, sami się pilnowali, boby ostatni nie dostali ; słuchali go jak
wojsko
swego dowódcy, a gromadziło się ich do stu ; grosze chętnie zbierał
zawsze i
wymieniał od każdego zapytując: »A niema tam Wasze groszaków ?
Nigdy też nie
było wypadku, aby mu ich brakło.
Tu Antoni B. syn kasztelanica dodaje swoje własne o rodzicach i
mieczniku

wspomnienia.

Przy swej oszczędności i skąpstwie pan miecznik miał słabość do wnuków.

Pamiętam, gdy miałem może lat ośm, starszy mój brat i ja byliśmy już w szkołach.

Przybywszy na wakacje do rodziców, obowiązani by-

liśmy pojechać na przywitanie do dziadków ; mam dobrze w pamięci wysoką tę

postać starca z białym jak mleko a sumiastym wąsem ; trzymał się prosto i lubił

z nami rozmawiać, a trzeba było głośno i wyraźnie mówić, bo niedosłyszał mocno.

Babka, jako niewidoma, nie zajmowała się niczem, więc sam kluczyki od

wszystkiego miał zawsze przy sobie. Gdy rodzice poszli na miasto po sprawunki a

nas zostawili z przykazem, abyśmy byli grzeczni, nic nie ruszali i nie biegali,

dziadek wtenczas wypytywał się nas co tam słyhać na wsi, co porabiamy. » Pewno

Waspanowie tylko wróble wykręcacie, co? he?!« I śmiał się. »A który lepiej łązi

po drzewach ?« »Poczęstujże ich też czem Stasiu, odezwie się babka, oni pewnie

głodni przejechali się, to będą mieli apetyt. — No, chodźcie za mną«.

Szedł więc

dziadek, otwierał szafkę w murku będącą i nalewał nam po kieliszku piołunowej

wódki. » Pijcie mówi, to zdrowe na żołądek«, wyniósł te z parę skórek od

chleba i bułek zbieranych od kilku tygodni. »No, a to schrupcie, bo macie młode

lepsze zęby od nas«.

Babka zwykle ręką mierzyła nasz wzrost, pytając się: »A który to?« i dziwiąc się jak urósł; bardzo nas przytem czule ścisłała. Z większą uciechą jechaliśmy pod koniec wakacyj na pożegnanie do dziadków, bo wtedy czule było rozstanie i dostawaliśmy po złotych. Raz pamiętam przy pożegnaniu dziadek jakiś był niespokojny, kręcił się po wszystkich pokojach, stękał i frasunek widoczny malował się na jego twarzy. Matka nasza już ubierała się do drogi, a my smutno spoglądaliśmy po sobie i łzy kręciły się już w oczach, bo

—

myśleliśmy, że nas zwykły datek ominie, gdy dziadek wychodzi i rzecze do nas :
»No macie tu Wasanowie po talarze pruskim, jak przyjedziecie do Warszawy, idźcie do banku, tam wam zmienią, dostaniecie po sześć groszy ażjo, tylko pamiętajcie nie dajcie się oszukać, niech mniej nie dadzą. Myśmy dobrze pamiętali, bo wyjeżdżając z miasta, wstąpiliśmy zaraz do cukierni, aby kupić ciastek do domu dla rodzeństwa i swoje talary zmienili.

Babka moja kasztelanowa Dąbska z domu, posunawszy się już znacznie w latach, mieszkała zawsze w swej rezydencji, którą za życia męża zajęła. Kiedy rodzice moi odwiedzali ją, zawsze brali na tę wizytę jedno z sobą dziecko dla zaprezentowania go babce, więcej nie przywozili, bo nie znosiła hałasu małych dzieci. Pamiętam, gdy na mnie ta kolej przyszła musiałem siedzieć jak trusia, bo

miałem to przez rodziców surowo nakazane. Nie wesoła to była dla
dzieci w moim
wieku wizyta. Faworyty psy i koty nie odstępowały jej nigdy;
przypatrywałem się
tym starym już bezzębnym z zapłakanymi oczyma stworzeniom,
którym zazdrościłem
swobody i karesów jakich doznawały.

Zdrowie mojej babki było bardzo nadwątłone, kaszel dokuczał jej
mocno,
podupadała coraz na siłach, w parę lat umarła i pochowana została
obok męża w
grobie rodzinnym.

Jak przez postęp cywilizacji i wynalazków zmienił się stosunek
ówczesnej
epoki, muszę tu dla porównania choć pobieżnie opisać pierwszy nasz
wyjazd do
szkół w Warszawie.

--

Pierwsza ta wyprawa nasza odbywała się w roku . Były to ciężkie
czasy dla
gospodarzy na wsi, ceny zboża nadzwyczaj niskie i kupiec na nie
trudny. Pamiętam
na święta Bożego Narodzenia ojciec mój (kasztelanie Wincenty) na
parę dni
przedtem wysłał był do miasta kilkadziesiąt korcy grochu, aby na
święta
zaopatrzyć się nieco w pieniądze i sprawunki potrzebne do domu.
Matka wypisała
regestr potrzebnych rzeczy potrzebnych do spiżarni a pomiędzy innymi
dostrzeżliśmy
zamieszczone pierniki i smaczne bakalie ; naprzód tedy cieszyliśmy
się, że nas
nie ominie gwiazdka ; na powrót więc wywózki oczekiwaliśmy
niecierpliwie. Trzy

mile było z okładem do miasta, więc wysyłka jeszcze po drodze w tym czasie uciążliwej, nie mogła wrócić pierwiej, niż drugiego dnia wieczorem ; myśmy się jakoś ociągali z pójściem spać, aby jak przyjadą dostać świeżych z miasta bułek i piernika. Wtem koło dziewiątej wieczorem psy zaszczekały, zrobił się ruch niezwykły w podwórzu i niebawem wszedł do pokoju pisarz, wysłany z wywózką, ale jakoś z nietęgą miną i kłaniając się rzecze: »Proszę Wielmożnego pana, grochu nie sprzedaliśmy i chociaż taki ładny nikt nie chciał kupić. Starszy pan (miecznik) kazał go zsypać do siebie do spichrza, boć trudno było po takiej oplakanej drodze wieźć go napowrót do domu ; tu jest list od starszego pana, kazali się oboje Państwu kłaniać«. My słuchając tej relacji posmutnieliśmy bardzo, bo nas omyliły nadzieje. — Dziadek pisał: » Kazałem tu Wasana groch zsypać, chciałem na poczcie choć parę korcy sprzedać, ale poczthalter odpowiedział, że ma teraz co paść końmi ;

obiecał, że może po świętach weźmie, ale tylko po ośm złotych daje, mam nadzieję, że może dla gołębi potrosze co sprzedam, bo inaczej to pies się o niego nie spyta«.

Takie to były czasy trudne, ale ojciec jakoś zebrał pieniądze i zapowiedział wyjazd nasz do Warszawy na parę tygodni przed terminem. Siostra i nas dwóch braci mieliśmy być odwiezieni, więc przez ten czas przygotowania i krętanina

były wielkie. Matka szykowała w domu wyprawę dla nas a na tydzień przed wyjazdem konie przeznaczone do podróży były odstawione, nic nie robiły i już je lepiej pasiono. Powóz ciągle zabezpieczali stelmach i kowal, a w wigilię dnia wyjazdu konie okuto ; obroki się w drogę szykowały na osobnej bryce i na noc- już przed domem stały ekwipaże dla upakowania rzeczy rano. Podróż sama trwała blisko trzy doby, ośm mil po zwyczajnej drodze, reszta już szosą. — Przygotowania te jak również sama podróż z noclegami, jako nowość zajmowała nas bardzo, a gdy nam ojciec trzeciego dnia nad wieczorem pokazał jakąś mgłę i dym unoszący się nad Warszawą, oczy nas zaboląły od patrzenia, bo kurz był niemiłosierny. Wreszcie kiedyśmy ujrzeli tę niezliczoną ilość wiatraków, sądziliśmy, że miasto z samych młynarzy i piekarzy jest złożone. Gdyśmy nareszcie zajechali przed rogatki, gdzie się odbywała rewizya i meldunek, obawialiśmy się owej baby strasznej, o której mówiono nam, że będziemy ją musieli całować, ale jakoś wjechaliśmy w miasto i ta ceremonia nas ominęła a cała uwaga zwrócona była na ruch i gwar bez końca.

Wszystko to nas w podziw wprawiało, lecz przybywszy do hotelu po posiłku zmęczeni podróżą zasnęliśmy szybko nie obudziwszy się aż rano nazajutrz i zaraz

pobiegliśmy do oka, by popatrzeć na ulicę. Pamiętam, żeśmy tego dnia wieczorem byli w teatrze, z początku bawiło mnie to, lecz w końcu zasnąłem i obudziłem się już na miejscu w hotelu rozebrany do spania.

Pobyt w Warszawie dosyć nam się podobał, bo i cukiernie często odwiedzaliśmy i nie myśleliśmy o tem, kiedy -się ten błogi czas skończy. Na trzeci dzień zaprowadzili nas rodzice do tych państwa, u których mieliśmy być umieszczeni na stancyi. Byli to państwo Pilatti, rodzice malarza Henryka ; że to była tylko pierwsza wizyta, więc z dobrą fantazyą i w humorach niezłych wróciliśmy do hotelu ; ale w parę dni rodzice nas znów biorą na tę wizytę i dostrzeżliśmy płacz matki, z którym się kryła przed nami, coś nas tknęło, aleśmy jeszcze poszli z dobrymi minami, aż przy pożegnaniu rodzice odzywają się do nas: «zostańcie tu a my do was niedługo przyjedziemy» i wyszli. My posmutnieliśmy jakoś, ale wyczekujemy jeszcze ich powrotu, lecz gdy się ściemniło i po kolacyi kazano nam się położyć spać, przez całą noc nieutuleni w płaczu, doczekaliśmy się dnia, a ubrawszy, wymknęli się na ulicę i podążyli do hotelu. Tam już jednak było pusto w numerach przez nas zajmowanych, rodzice jeszcze wieczorem dnia poprzedniego wyjechali. Zdesperowani, kręcąc się po ulicach nie mogliśmy z powrotem trafić, bierzemy więc dorożkę i każemy się wieźć na Dziką ulicę, lecz widzimy uśmiechniętą twarz dorożkarza,

gdyż tylko zwrócił koźmi i wjechał na naszą ulicę, a my poznaliśmy dom, stanął ;
lecz za kurs zapłacić trzeba było. Przez trzy dni nie mogliśmy się w żalu naszym
uspokoić, w końcu po naradzie z sobą napisaliśmy list do rodziców, że jeżeli nas
w ciągu dwóch tygodni stąd nie odbiorą i nie wrócimy do domu, to się obydwu
powiesimy ! Ojciec odebrawszy ten list rozśmiał się tylko, matce go nie pokazał
a nam nic na niego nie odpisał. My odtęskniwszy się wreszcie, zapomnieli się
powiesić. Było nam u tych zacnych ludzi bardzo dobrze; prawdziwą opieką
rodzicielską byliśmy przez obojga otoczeni, może najlepiej ze wszystkich miejsc,
jakie podczas naszego szkolnego pobytu zajmowaliśmy. Rodzice przez rok cały nie
zajrzeli do nas, tylko listownie z nami korespondowali a dwa lata na żadne
święta, ani na wakacye z Warszawy nie wyjeżdżaliśmy umyślnie dla tego, abyśmy
się należycie odtęsknili, chociaż dziś to mogę wyznać, że sami dużo nad tem
cierpieli, bo nas prawdziwem uczuciem rodzicielskiem kochali.
Dziś spieszą rodzice do swych gagatków, gnani siłą pary i ta im się jeszcze
za wolną wydaje, rozmawiają telegrafami, a nawet są tacy, którzy porzucając
najświętsze obowiązki i przyszłość swych dzieci przenoszą się z niemi dla
edukacyi do miasta, nie chcąc ani chwili pozbawić się ich widoku ;
czy im tem w przyszłości szczęście zapewniają ? Najlepiej obecne stwierdzi pokolenie.

Nadszedł rok ; przyjechaliśmy na wakacje, brat mój, Roman, miał rok
ośmnasty, ja byłem już

piętnastoletnim wyrostkiem. Jednej niedzieli zaproszeni zostali rodzice na obiad w sąsiedztwo, więc całym domem naszym dwoma ekwipażami pojechaliśmy z wielką uciechą, bo tam po obiedzie miały się odbywać tańce. My obadwa wystrojeni byliśmy w studenckie nowe fraki, które podówczas uczniowie w święta i na wystąpienia galowe nosili. Może w pół godziny, kiedyśmy na miejsce przybyli, przybiega posłaniec na zziąjanym koniu z wiadomością, która przeraziła wszystkich, a rodziców moich, szczególnie zaś matkę dotknęła bolesnym ciosem. Miecznik nagłe zakończył życie. Ojciec bez straty czasu, kazał zaprzęgać i pojechaliśmy wszyscy; w parę godzin stanęliśmy na miejscu. Gdyśmy zajeżdżali, pamiętam, kamienica zajmowana przez dziadków była już obleżona przez tłum odwiedzających nieboszczyka, szczególnie ubóstwo cisnęło się, by oglądać swego dobrodzieja i najstarszego obywatela miasta, chorągiew żałobna powiewała już przed domem jako godło śmierci. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie wywarła ta miłego oblicza spokojna postać dziadka mego, leżącego na katafalku wpośród palącego się licznego światła. Śmierć jego była niespodziana, w wigilię

dnia (była to sobota) czuł się najzdrowszym, jak w tym wieku być
można, kręcił
się jak najgorliwiej po wszystkich kątach w domu i podwórzu a nad
wieczorem
posłał po golibrodę, aby go ogolił. »Co ty Stasiu robisz, przecież się
zawsze
golisz w niedzielę rano — odezwie się babka«. ' »A to widzisz moja
Imość nie
chcę, aby mnie po śmierci skrobano « — i rozśmiał się. — Po
ogoleniu się, ukląkł
do pacierza i modlił się dłużej,

niż zwykle; po odprawionych modłach, rzekł do żony: »Idźmy dziś
moja Imość
wcześniej spać, bo mnie jakoś sen morzy«. Zwykle koło siódmej rano
wstawał
pierwszy i odchyłał okiennice. Babka, chociaż czasem już nie spała,
gdy cisza
panowała w pokoju, nie przerywała snu mężowi. Dziś siódma wybiła
na obydwóch
zegarach, Jegomość się nie obudził ; cierpliwie szepcząc sobie
pacierze,
doczekała babka znów, że wybiła ósma ; więc zaniepokojona, czy nie
chory, cichym
głosem zawołała: » Stasiu, Stasiu! a cóż tak dzisiaj długo spisz? «
Nieodebrawszy odpowiedzi, niespokojna, zawołała głośniejszym głosem, aż
służąca, stara
Marcinowa, gotowa na wezwanie, usłyszawszy przyszła i zbliżywszy
się do łóżka
miecznika z przerażeniem zawoła: «Jegomość nie żyje!« otworzyła
okiennice ;
leżał już stary pan miecznik, uśpiony snem wiecznym; zapewne
astma, na którą pod
koniec życia cierpiał, w mocniejszym kaszlu zadusić go musiała.
Przeczuł tedy

swój koniec, a do tej wędrówki w świat lepszy przygotował się nawet ; w testamentie zalecił żonie i dzieciom, aby go jak najskromniej pochowano. Trumnę prostą, dębową miał u . Reformatów złożoną dla siebie, na koszt pogrzebu pieniądze w worku były pod materacem w głowach jego łóżka, opieczętowane z napisem: »na mój pogrzeb«, w wysokiej szafie od zegara pieniądze, z napisem na woreczku: »dla rozdania ubogim na pogrzebie za moją duszę«. Z taką to rozważą przodkowie nasi myśleli dawniej o śmierci.

W mieście nie pamiętali mieszkańcy dawno tak licznego pogrzebu. Wszyscy księża i cechy wystąpiły

z paradą dla oddania ostatniej po służby miecznikowi, jako bratu starszemu, który im na sesjach długi czas przewodniczył. Ubóstwo z całego miasta i okolicy obdarzane przez nieboszczyka, długim szeregiem wlokło się za konduktem. Familia pozostała, nie we wszystkim w ceremonii pogrzebowej zastosowała się do woli nieboszczyka, bo godność jego na to nie dozwalała. Pochowany został przy kościele . Reformatów, gdzie od dawna to miejsce sobie upodobał, a na wieczne czasy jeszcze za życia dla siebie i żony zakupił. Nagrobek ten po dziś dzień stoi tam dotąd niewzruszony.

Po śmierci mieznika, jak to w mieście zwykle, dziwne wieści krążyły pomiędzy

ludem, że parę razy widziano go, jak przyszedł liczyć do piwnic swoje ukryte tam skarby, że pozostali sukcesorowie nie mogą ich przemierzyć i t. p., lecz któż ludzkie języki powstrzymać jest mocen. Babka, jako już w wieku podeszłym będąca, przytem niewidoma, potrzebowała troskliwej opieki i otoczenia rodziną po swym ciosie, przeniosła się przeto na mieszkanie do starszej swej córki i tam w parę lat życia dokonała, pochowana obok męża, w miejscu zawczasu przygotowanym.

GENEALOGIA DOMU BIESIEKIERSKICH HERBU POMIAN

według starych herbarzy, tudzież aktów i dokumentów, znajdujących się w archiwach koronnych, oraz w papierach familijnych w Płowcach.

Poszukiwania ku wyjaśnieniu rodowodu Biesiekierskich czynił głównie uczony ś. p. Ferdynand Biesiekierski z racyi spadku znacznej fortuny po jednym z członków rodziny z drugiej gałęzi domu osiadłej na Wołyniu; oto co w tym względzie pisze on w swych notatach:
»Znakomity ród Sokołowskich, herbu Pomian, osiadły od kilku stuleci w województwach wielkopolskich, pisał się na Sokolnikach, Biesiekierzu, Biesiekierach, Głębokiem i Wrzącej Wielkiej. Gdy zaś zagęścił się zwyczaj, że nazywano posłów od ziem, których byli przedstawicielami, starostów od grodów ich jurysdykcyi oddanych, a dziedziców od dóbr, które dzierżyli, natenczas powstał

ród pod nazwiskiem Biesiekierskich z rodu Sokołowskich«.
»W głównym Archiwum koronnym znajduje się akt urzędowy,
spisany w Grodzie
Toruńskim r. działu majątkowego między rodzonymi braćmi: Janem
Sokołowskim
wojewodą płockim, utrzymującym się przy dziedzictwie dóbr
Sokolniki a Mikołajem
podczaszym łęczyckim, zostającym przy majątku Biesiekiery,
Biesiekierze wielkie
i małe w Łęczyckiem; trzeci brat Stanisław Sokołowski kanonik
katedry
krakowskiej, znakomity kaznodzieja i uczonec, a spowiednik króla
Stefana
Batorego, kon-

--

tentował się opłatą). Odtąd datuje się powstanie imienia
Biesiekierskich, gdyż
Mikołaj podczaszy zaczął się podpisywać już nie Sokołowskim, ale na
Biesiekierzu
Biesiekierskim od nazwy swej włości, tak też się on już i na elekcji
Henryka
Walezyusza podpisał«.